

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

WYCHODZI CO TYDZIEŃ

w objętości jednego tomu.



WARUNKI PRENUMERATY

w WARSZAWIE:

Z przesyłką pocztą

Rocznie . . (52 tomy) rs. 10

Półrocznie (26 tomów) „ 5

Kwartalnie (13 tomów) „ 2 kop. 50

Za odnośnienie do domu 15 kop. kw.

Rocznie . . (52 tomy) rs. 12

Półrocznie (26 tomów) „ 6

Kwartalnie (13 tomów) „ 3

Cena każdego 25 kop., w oprawie 40 kop.

DOPLATA ZA OPRAWĘ:

Rocznie . . (za 52 tomy) rs. 6 kop. —

Półrocznie. (za 26 tomów) „ 3 „ —

Kwartalnie (za 13 tomów) „ 1 „ 50

Za zmianę adresu na prowincyi dopłaca się 20 kop

REDAKTOR I WYDAWCA

Franc. Jul. Granowski.



Redakcyja i Administracyja: Warszawa, Nowy-Świat 47.—Telefonu 1670
we Lwowie Plac Maryacki l. 4.

Drukarnia A. T. Jezierskiego, Nowy-Świat 47.

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH.

№ 181.

1386

~~1615~~
ORLAND OSZALAŁY

LUDWIK ARIOSTO

W PRZEKŁADZIE

FELICYANA



5 Cena 40 kop.

W pren. 30½ ko

WARSZAWA.

Redakcyja i Administracyja

47. Nowy Świat 47.

—
1901.

1386

ORLAND OSZALÁLY.



35780
dublet

Ludwik Ariosto.

P
F3

1386

Orland oszalały

W PRZEKŁADZIE

FELICYANA.



Miejska Biblioteka Publiczna

Filia Nr 3

Tr. 852



1901

WARSZAWA.

DRUKARNIA

A. T. Jezierskiego

47. Nowy-Świat 47.

3.213



507

35780 olub

Дозволено Цензурою.
Варшава, 11 Апрѣля 1901 г.



154645

D-283/84

1386

PRZEDMOWA.

Ludwik Ariosto (1474 — 1538) należy do plejady, stanowiącej kanon klasycznej poezji włoskiej, razem z Dantem, Petrarą i Tassesem. Poemat jego, odznaczający się wytworną fantazyą w pomysłach i przedziwną swobodą w ich wypowiedaniu, opiewa dzieje rycerzy z cyklu podań o Karolu Wielkim. Wobecnym wydaniu, pomieszczono ciąg powieściowy, zajmujący się prawie wyłącznie losami dwojga głównych bohaterów poematu, jakimi są: Orland i Angelika; jest tam bowiem, oprócz tych dwojga, wielka mnogość innych, których dzieje, nie zawsze, a nawet rzadko kiedy, wiążą się z zapowiadzaną w intytlucacyi treścią. A jest na to miejsca nie mało; poemat bowiem składa się z czterdziestu sześciu pieśni, z których każda w przecięciu liczy do stu strof ośmiowerszowych.

W literaturze naszej istnieje przekład dwudziestu pięciu pieśni, przypisywany Piotrowi Kochanowskiemu, na co jednak dowodu stanowczego niema.

Przeciwnie owszem, robota owa nie zbyt się nadaje do podobnego przypuszczenia; jeśli zważymy, że tenże Piotr Kochanowski, w przekładzie „Jerozolimy Wyzwolonej Tassa” zostawił po sobie arcydzieło języka i formy ze wszechmiar godne świetnieć obok swego pierwowzoru, a przeto przynoszące zaszczyt niepośledni epoce owej zwanej Złotą, wpośród której, tak zasłużenie z niejednego względu, przodem idzie nieśmiertelny Jan z Czarnolesia.



PIEŚŃ I.

1.

Panie, Rycerze, broń, miłosne strzały,
Dworskie i grzmiące sprawy, śpiewać życie.
Przez morza wtedy z Afryki zleciały
Na szkodę Francyi Maury najezdnicze.
Agramant był im wodzem, król zuchwały!
Ten szedł, drapieżne czynić tam zdobycze
Mszcząc ojca, w starciu poległego wrażem
Pod władcą, który Rzymskim był Cesarzem.

2.

Chcę też wyśpiewać rymowaniem śmiałem
W Orlanda głowie dziwnych wzruszeń zmiany.
Bo on z miłości zmarniał, tknięty szaleń,
Mąż ważny między Rycerskimi Pany —
Był ta, której duszę mą oddałem,
I przez nią jestem, jak i on, narwany,
Skinieniem rączki swej nad wyraz miłem
Dała mi spełnić to, co zamierzyłem.

.....

5.

W swej Angielice, wielce gładkiej pani,
Orland, oddawna rozkochany srodze,
Gdy już u Wschodu liczne ludy dla niej
Zaszczytnie podbił, w swej pierwotnej drodze
Z tą piękną jadąc, niósł na Zachód w dani
Swoją miecz, gdzie Cesarz Karzeł Wódz nad wodze.

U Pirenejskich gór wyniosłej ściany,
Leżał ze swemi Franki a Germany.

6.

Ten Marsylowi i Agramantowi
Siłę swej pięści chciał dać uczuć za to:
Temu, że czarni zbójcy z nim stepowi
Z Afryki spadli zgrają wichrowatą —
A zaś, iż z tamtym, z po za gór się mrowi
Czerń, która Francji grozić śmie zatrą! —
I na to właśnie przybył Orland — ale
Wprędce ochłonać musiał w swym zapale,

7.

Gdyż mu tu słodkie poplątano pęta.
(O! ty nie rzadka omylności czleczka!)
Ta, którą wróg jej wiecznie popamięta,
Znając, kto taki cześć jej ubezpiecza —
Teraz — w spokoju głuchym — jest mu wzięta,
I to wśród swoich, bez dobycia miecza! —
Lecz tak chciał Mądry Cesarz, skoro baczy,
Iż z jej przyczyny spór się wszczął junaczy.

8.

Bowiem, wnet o nią oręż skrzyżowali
Rynald z Orlandem, dwóch pokrewnych braci —
Tak bo sierzniście obu ich rozpali
Przedziwnie rzadki urok jej postaci!
Z czego, zgadł Cesarz, widząc jasno w dali:
Iż na tem wprędce Święta Sprawa straci.
Więc też przyczynę kłótni tej w książęce
Władcy Bawarów na to oddał ręce,

9.

Iżby nagrodą była temu, który,
Z Saraceńskimi walcząc wołokity,
Najskładniej wilcze ciały im pazury,
Odnosząc w zysku chwałę i zaszczyty. —
Cóż, gdy tej sprawy nie poparto z góry!
W rozsypkę poszedł naród Chrztlem obmyty —
Książę zaś z tłumem w pętach był pędzony —
A obóz jego został bez obrony.

10.

To widząc panna, rada niesłychanie,
Iż traf szczęśliwy jej swobodę zbliża,
Zanim się stało bitwy dokonanie,
Dopadła konia i, jak strzała chyża,
Zarazem pewność mając, iż poganie
Zyskali górę nad sługami Krzyża,
W las gnała, w którym, gdy jak może śpieszy,
Patrzy — a drogą zdąża rycesz pieszy.

11.

Miecz miał u boku, szyszak zaś na głowie,
Tarcz u ramienia, i, choć w ciężkiej zbroi,
Biegł, jak w wyścigu zapaśników mrowie,
Gdy każdy dowiesć chce szybkości swojej.
A znów, wieśniaczka, zmięł gdy w parowie
Na ścieżce ujrzy, mniej się pewnie boi,
Niż Angielika, gdy więc w bok uskoczy,
By rycerzowi temu nie wpaść w oczy.

12.

Bo to był Rynald, między królewiczy
Znaczny, a w broni mistrz nie lada jaki!
Tylko co, trafem, Rojard był mu wzięty,
Koń ukochany — rumak nad rumaki!
Gdy więc, wpatrzony w panny tej ponęty,
Ję warkocz złoty zajrzał z nad kulbaki,
Poznał, iż ta jest, w której błogie sieci
Wpadł był — więc w ślad jej bez namysłu leci,

13.

By ją dopędził. A zaś Angielika,
Przezeń i własnym strachem gnana srodze,
Nie bacząc: szlak to, czy też knieja dzika,
Już tylko ufna pierwszej lepszej drodze,
Błąda i drżąc, gdy jak wiatr przemyka,
Koniowi wreszcie zdała trosk swych wodze,
A ten z nią kiedy tu i owdzie biega,
Dopadła wreszcie jakiejś rzeki brzegu. —

14.

A tam stał Ferraut. Ten, gdy bój z Chrześciany
Tak padł, iż sobie klęskę wywalczyli —
Chciał z kurzu obmyć twarz, i z krwawej piany
Ręce, i użyć odpocznienia chwili.
Lecz został mimo woli swej wstrzymany!
Bo, chcąc się napić, gdy się w strumień chyli,
Z głowy mu szyszak wpadł do wody onej,
Tak, że już zgoła zdał się być stracony.

15.

Krzyczała, w piersi łaknąć tchu, dziewica!
Na to, drgnął Ferraut, a w jej trwogi szale,
Gdy wzrokiem urok wdzięków jej pochwyca,
Blask oczu, białosć ramion, ust korale,
I te w bładości swej tak cudne lica,
Oślupiał — bowiem, choć jej nie znał wcale,
Lecz, że uwielbień słyszał o niej siła,
Zgadł, iż to piękna Agielika była.

16.

A iż mu tenże płomień wżarł się w łono,
Który był zażęgił tamtych dwóch rycerzy,
Więc, chcąc tej pannie szparką być obroną,
Dobryszy miecza, szybkim pędem bieży
Obces, acz z głową całkiem obnażoną,
W stronę, gdzie Rynald z leśnej mknął rubieży
Nie mu nie straszny — bo się zdawna znali,
A nawet nieraz w cięciach ostrzem stali.

17.

Skaczą ku sobie, w gołe grając miecze,
Gdyż obu, jako pieszym, tak wypadło.
Od ciosu, którym ten i tamten siecze,
Nie zbroja, lecz już pękłoby kowadło!
A tu, rąbaniem owem, gdy nadrzecze
Rozgłośnie brzmiało — panna, z twarzą zbladłą
Zwróciwszy konia, w puszcę znów nieznaną
Wbiegła — i tyle tylko ją widziano. —

PIEŚŃ VI.

Rogier wybawiony przez Bradamanę z rąk Czarodzieja
Atlanta, nieopatrznie dosiadłszy podstawionego mu zdracą
Hippogryfa, przez tegoż uniesiony zostaje w powietrze,
precz z Europy. (O tem w Pieśni IV. 40—46).

17.

...Jakbądź miał Rogier z duszą zgodne ciało,
Tak, że wzruszenia nikt mu nie zgadł z twarzy.
Trudno uwierzyć, by w nim nie zadrżało
Coś, jak dygocze liść gdy z wiatrem gwarzy,
Skoro się spostrzegł, że Europę całą
Zbiegł już wbrew chęci, aż za kres ten wraży,
Który żeglarzom niegdyś wpoprzek drogi
Z dwóch stron zawałił Herkul, siłacz srogi.

18.

Gdyż on Hippogryf — osobliwe zwierzę! —
Tak z nim zawrotnie przez powietrze zmiata,
Że nawet ptaków Król, co w szpony bierze
Jowisza gromy, mógłby znać w nim brata —
Lecz żaden inny; — nawet wyznam szczerze:
Równą mu nie jest żadna moc skrzydłata.
Sądzę, że tylko, niż on biegun, prędzej
Z obłoków biegnie błysk na padoł nędzy!

19.

Gdy jakiś czas już śmigał przez błękity,
Wprost, jakbyś grotem strzelił ku pałacy —
Wreszcie powietrza syt i biegu syty,
Ku pewnej wyspie lot swych skrzydeł zniży.
Na takiej niegdyś, sprawą Afrodyty,
Gdy Alfeusza gnał ją pościg chyży,
Uciekająca Aretuza biała
W śmiertelnej trwodze w szklisty źródło stopniała.

20.

Nie — okolicy tak jak ta uroczej
 Na całej ziemskiej kuli nie znajdziesz
 Rumaka nawet wszedobylskie oczy
 Zdumieniem ona razi! Więc też przecię,
 Coraz szczuplejszy w koło krąg zatoczy,
 I wraz, Rogiera mając na swym grzbiecie,
 Mknij szybko lotem w dół, by patrzył zbliżka
 W tych wzgórz i dolin Rajskie cudowiska.

21.

Tam laur, mirt, palmy, w jedną gąszcz się macą,
 Wśród której szemrzając, srebrny źródło migocze.
 Wdychasz migdałów tch, i woń rzeźwiącą
 Pomarańcz strojnych w kwiaty i owoce.
 I wszędy chłodne gaje, gdzie w gorąco
 Schronić się możesz w gęstych drzew pomroce.
 Słowików rzesze, wiecznie tam, z rozkoszą.
 Bezpieczny miejsce tych powab w niebo głoszą.

22.

Gdzie z róż i z lilij zwarte kwitną haszcze,
 Bezpiecznie bujał zwierzę wszelaki mały.
 Górą jeleni lotnych cmy hulaszczę
 Pasy się, albo leżąc przeżuwały.
 Wietrzyk łagodny lśniąca sierść ich głaszczę —
 Ani im sieci grożą, ani strzały.
 Więc tam i sarny skaczą i daniela,
 I innych leśnych zwierząt bardzo wiele.

23.

Gdy koń już niemal w trawie kładł kopyta,
 Że mógł się Rogier rozstać z nim bez szkody,
 Zejść z siodła chęć go zdjęła niepozbyta —
 Więc rażno z niego skoczył ów pan młody.
 Lecz dziwotwora silnie wprzód przychwyt,
 By ten znów nie chciał z wiatrem iść w zawody.
 Poczem go znagli, gdy on o tem nie wie,
 Przytroczył krótko przy mirtowem drzewie.

24.

I gdzie wśród gęstwy źródło nań szemrząc woła:
 By się z rycerskiej znożnej zwłóki odzieży,
 Z bark puklerz ściągnął i przyłbicę z czoła,
 I rękawice z rąk, i wzrokiem bieży
 W czarownej wyspy głąb, a myśl wesół
 Duszę mu rzeźwi, a zaś powiew świeży
 Rozdyma piersi — bowiem drzew szemranie
 Zdaje się szeptać: — Witaj miły Panie! —

25.

Więc usta spiekło w zdroju i spotniała
 Twarz dłońmi zwilżył, chcąc, by raz już przecię
 Chłód pożądany wstąpił w jego ciało,
 Które mu zbroya do nadmiaru gniece.
 To zaś trapienie od niej ztąd się stało,
 Że, zanim ziemi dotknął — cóż powiecie? —
 Zrobił, powietrzem lecąc w tym ubiorze,
 Mil trzy tysiące lub i więcej może.

26.

Tymczasem rumak, w knięję umajoną
 Schroniony — znagli — niby byk wśród stada
 Przez baka cięty — gdy nań jakieś wioną
 Szmer, a z niemi trwoga śmiercią błada,
 Jął tak rwać drzewo, z którym go stoczono,
 Że z niego wrędcę liść garściami spada,
 Pień drży, konary trzeszczą, pęka kora —
 Lecz silny rzemień trzyma dziwotwora.

27.

Jak bywa z kłoda, której rdzeń nadpsuty
 Obejmie zewsząd ognia żywioł wraży —
 Ona w gorącu tem, jak wśród pokuty
 Skwierczy i piszczy, i za stu nędzarzy
 Boleśnie jęczy mnóstwem skarg, dopóty,
 Aż się z niej wilgoć parą nie wyprąży —
 Tak z tego mirtu skarga szła rzewliwa —
 Wreszcie on z siebie ludzki głos dobywa.



28.

Naprawdę ludzki. Tylko, że w tej mierze
Brzmia z niego raczej bóle, niż rozkosze.
— Jeśliś jest zbożny człek, jak chętnie wierzę
Wnosząc z postaci twej — tak rzekł — to proszę:
Weź precz odemnie to przekłętę zwierzę —
Bom w krzywej doli szpony wpadł macosze —
I dość już w sobie cierpie, by mnie jeszcze
Mąk nowych z zewnątrz dojmowały dreszcze! —

29.

Na pierwszy słów tych dźwięk przez pół zwodniczy,
Rogier pomyślał, że wpadł w złudzeń szaty.
Lecz gdy miał pewność, że to z drzewa krzyczy
Ten głos boleści — co tchu jął struchlały
Konia z rzemiennej odwiązywać smyczy,
I wstydem zdjęty, choć mu usta drżały,
Rzekł: — Ktobądź jesteś — niech ci Niebo sprzyja
Zakłętą w drzewo duszo nie wiem czyja!

30.

Coś podobnego któż przypuścić może,
By w twardym drzewie duch przebywał człeczyl!
Ztąd, bez mej winy — tak mi pomóż Boże —
Ten koń twe członki szarpie i kaleczy.
Lecz, ktobądź mieszkasz w tej chropawej korze,
Mów mi — czyż mogą stać się takie rzeczy:
By nieśmiertelny byt w roślinie nagiej
Trwał, na niewygód wystawiony plagi?

31.

Więc, byś przezemnie mógł być kiedyś zdrowy,
Tak może Nieba litościwie chciały.
Ztąd ci przysięgam, przez cześć panny owej,
Z którą jest lepszy dział mej duszy całej,
Że skoro krzywd twych dowiem się z twej mowy,
Czyn ku ich pomście spełnię godny chwały. —
To gdy rzekł Rogier, mirt się uroczyście
Wstrząsł, od korzeni aż po skrajne liście.

32.

I potnieć począł — jako, z ręki drwala
Pień, który w słońcu, aby sechł, złożono,
Gdy skrzy się rosa, iż w nim soków fala
Znów kraży siłą w tajni puszczy zrodzoną —
I rzekł: — Współczucie twoje mnie zniewala
Mej duszy spowiedź przelać w twoje łono —
Więc naprzód: Kto jest — potem rzec ci muszę:
Kto mi i kiedy w krzew ten zamknął duszę?

33.

Astolf mi imię. Choć je dola łzawa
Dziś ęmi — to niemniej w blaski ono wzrośnie.
Orland mi krewnym jest, i również sława
Z krwią Rynaldową wiąże mnie rozgłośnie.
Otton mi, Anglii władca, życie dawa,
A z niem i tron swój — a ja w życia wiośnie,
Nie jednej pięknej byłem wielce luby,
Lecz ztąd to właśnie miałem przyjść do zguby.

34.

Wracając z wysp tych, w których żeglarz baczyl
Kres lądów, gdzie się belt Indyjski pieni,
Kędy, z Rynaldem dzielnym, przez siepaczy
Byliśmy w ciemnie głucha noc wtrąceni,
Zkąd już nie meztwem, ale cudem raczej
Uszliśmy objąć bladej zgonu ksieni —
W zachód nas wiodły kroki, wzdłuż krawędzi
Której północnych wichrów złość nie szczędzi.

35.

Wtem, dnia pewnego (słusznie ztąd się żalę —
Gdyż snąc nas w kraj ten złe zagnały mocoł)
Patrzym — Aleyny możnej gród na skale
Sterczy, o którą wściekły bałwan grzmoce.
Nie była wtedy w zamku swoim — ale,
U brzegu siedząc, w cichej tuż zatoce,
Bez węd, bez sieci, wprost w swych rąk wycierze.
Jakie chce ryby, z morza sobie bierze.

36.

Łosoś z pośpiechem wręcz jej w dłoń wplywa,
Z otwartą gębą jesiote kę niej skacze,
Też, choć ospałość dręczy je leniwa,
Barweny, flądry, śledzie i cudaże
Pekate morskie lub wysmukie dziwa:
Węgorki, drętwy, sumy i głowacze.
Słowem — że dla niej, co tchu wolność traci
Zwierz morski wszelkiej barwy i postaci.

37.

Tuż zaś wieloryb czyhał, jak na fali
Podobnie wielkich nie spotykasz wiele!
Na jedenaście kroków, lub i dalej,
Z wód słonych srogie swe wyteżał skrzele!
Wszystcyśmy, w jeden wpadłszy błąd, mniemali,
Że to się wyspa po przed nami ściele.
Gdyż się nie ruszał, a wśród fali sinej
Niemał ginące oku miał kończyły!

38.

Tak, by przywabić ryby, w srebrne piany
Szept zaklęć wrzucił, niby czółnko tkacza.
Gdyż ta Aleyna siostrą jest Morgany —
Choć nie wiem: starsza, młodsza, czy bliźniacza.
Gdy mię ujrzała, byłem wnet schwytany
W sieć jej miłości. Lecz że mię otacza
Junaków zastęp — więc ją nęci chwala
Wziąć mię mym druhom — co też i zdziałała.

39.

Więc się zbliżywszy do nas uśmiechnięta,
Jako ku gościom grzeczna gospodyni,
Rzekła: — Prześwietne z obcych stron panięta!
Witajcie, w chwili, gdy się właśnie czyni
Mojego ludu popis! Któż spamięta
Ich kształty? Są tu rzadcy, są jedyni.
Wszyscy tu przyjdą, jeśli tak życzyacie —
A jest ich tyle, ile gwiazd w błękitach. —

40.

Więc chcąc Syrenie przyjrzeć się uroczej,
Przed której śpiewem głuchnie morską wrzawa,
Szliśmy tam, kędy, niby gdzieś, w uboczu,
Przebywać zwykła panna ta modrawa —
Aż on Wieloryb znów wpadł nam w oczy,
Który się wyspą, jakom rzekł, wydawa —
A ja, niebaczny, że tam zdrada dybie,
Samo chcąc szybko szedłem ku tej rybce.

41.

Rynald z Dudonem duszą mi oddani
Chcą mię powściągnąć — lecz czarnoksiężnica,
Śmiejąc się, mądrą ich przezorność gani,
Poczem ich obu pchnie, a mnie pochwyca,
I wtem wieloryb, wchodząc w myśl swej pani,
Uderzył w skrzele — a mnie zbłądził lica,
Bom po niewczasie postrzegł w mgnieniu oka,
Jak mię od brzegu rwała ton głęboka.

42.

Rynald wpływ skoczył za mną, i o mało
Na dno nie poszedł — gdyż na głos niewieści
Znagliła się morze wichrem rozszalało —
I odtąd o nim żadnej nie mam wieści.
Aleyna zato, duszę swą i ciało
W moc mi oddając, cieszy mię i pieści.
Tak dobie całą, aż po świtu zorzę,
Na onej morskiej wiozła mię potworze.

43.

W końcu, przez szlaki wodne jak najprostsze,
Obszarom tej tu wyspy nas oddano,
Którą Aleyna swej niejakiej siostrze
Wydarła, niby jej należne wiano.
Tem zaś bezprawnej swój tu rząd rozpostrze,
Że — jak zkadinał rzecz tę wiem — z Morgana
Obie się rodzą w kaziurodztwie brzydkim,
Gdy tamta ślubów prawych jest nabytkiem.



44.

I ile każda z onych, służąc zbrodni,
Serce ma złości, przepełnione kałem.
Tyle rzec można świętość wieje od niej,
Gdyż jest oddana enocie sercem całem.
Ztąd się to na nią wspólnie najniegodniej
Sprzysięgły obie, a ja sam widziałem,
Jak coraz szerzej kroczą w kraj ten żyzny.
Aby ją z całej wyzuc ojcowizny.

45.

I łatwoby im resztę wziąć, jeżeli
Tyle już wydrzeć chęć się ich nie sroma.
Na szczęście, z jednej strony toń topieli.
Z drugiej, na wstępie stoi góra stroma.
Jak pasmo, które z Anglią Szkocję dzieli.
Tak, że z nich każda jest u siebie doma.
Niemniej Aleyna chce, z Morganą w zмовie,
Tę zgnać, co się Logistyllą zowie.

46.

Tak to zbrodniarze, na tych, co są czysci.
Żądz nienawistych jad śmiertelny zioną!
Lecz niech ci wreszcie powiem z pod mych liści
Jaką koleją w drzewo mię zmieniono.
Zrazu się dla mnie Ziemski Raj tu isci —
Gdyż płomień, który żarł Acyny łono.
Wkrótce i w mojem sercu się rozgości.
Od niewymownej wdzięków jej słodkości.

47.

Woń miała dla mnie, jak rozkoszne kwiecie
Zakłète w przepych barw i puch pajęczy!
W tej twarz, w tej postać, w tamtej wdzięk znajdziecie —
W niej było wszystko, co miłością dręczy!
Wkrótce o całym zapomniatem świecie —
W jej oczach tylko topiąc wzrok, jak w tęczy.
I wszystkie cele moich żądz i szafy
W niej się kończyły, jak i zaczynały.

48.

Jak ja, tak piękność owa rodem z piekła,
Równie już o nic nie dba, ni o kogo.
Wszystkich kochanków dla mnie się wyrzekła,
Chociaż ich przedtem ciżbę miała mnoga!
Wreszcie nas w jedno sprzegła żądza wściekła.
Jak się już ściślej dwoje sprzadz nie mogą!
Dniem, jak i nocą wszystka mi oddana,
Aleyna nie chce znać innego pana.

49.

Ach, pocóż jątrzę tę krwawiącą ranę,
W którą mi Amor wbił grot swej cięciwy!
Poco wspominam dobro niegdyś miane,
Gdy za nie cierpię mąk nadmiernych dziwy!
Dość — że, gdym sądził, że już tak zostanę
Po życia koniec, dwojgiem nas szczęśliwy —
Ona mi serce swoje z nagłej zmiany
Wzięła, jak dany dar i odebrany!

50.

Któż mógł przewidzieć: że ta niewdzięcznica
Kocha i kochać kończy równie żwawo?
Z szybkością bowiem niemal zmian księżycy
Wziął z rąk mych inny moje do niej prawo!
Więc tedy ona łaską mnie zaszczyca
Coraz chłodniejszą — wreszcie, gdym z odprawą
Precz poszedł — wtędy poznaj, że w tej matni
Anim ja pierwszy taki, ni ostatni! —

51.

Zaczem, w obawie, iż, ztąd, nader śmiało
Rozpusty domem teu jej gród nazową —
W nieludzkie kształty swych kochanków ciała
Przetwarza, piejąc czarodziejskie słowo.
Więc tego drzewem lub zrobiwszy skałą,
Zniewała w ziemię wrosnąć. Przymusowo,
Innym się każe zmienić w źródło lub w bydlę.
Słowem, że zginął, kto był raz w jej sidle!

52.

Więc ty, coś, lecąc poprzez chmur odmetry,
 Spłynął w uroki wyspy tej zbrodnicze,
 W miejsce którego, ktoś znów odepchnięty
 Straci swą ludzką postać i oblicze,
 Podczas gdy wabion więdźmy tej oczęty,
 Z jej ust nadludzkie będziesz pił słodycze —
 Wiedz: że, nim poznasz, co jest szczęście trwałe,
 Zaklęty będziesz w drzewo, źródło lub skałę.

53.

Com rzekł, z pożytkiem twoim niech się stanie,
 Nie, iż ci jaka pomoc ztąd się zdarzy —
 Lecz, iżbys w zgubę nie szedł niespodzianie,
 Znając tutejszych pęt obyczaj wraży.
 Bo tak jest licznem chytrych zdrad działanie,
 Jak bywa liczną różnoś ludzkich twarzy.
 Więc — gdy wiesz wszystko — może cię ocali
 To, czego drudzy, wprzód niż ty, nie znali. —

54.

Rogier, zważając, że, jak już to znamy,
 Jest Astolfowi Bradamanta krewną,
 Tem silniej bolał, iż więc w rzeczy samej
 Ten biedny Rycerz jest zaklęty w drzewo!
 Więc, jako służa serca pięknej damy,
 Chciał mu pomocnym być — lecz cóż? napewno,
 Zbyt słaba możność, ledwie mu pozwoli
 Młodzieńca smutnej pożalować doli!

55.

Tymczasem jął go pilnie badać: czyli
 Jest gdzie idąca chyłkiem jaka ścieżka,
 Coby wprost wiodła w kraje Logistyli,
 Zdała od stron tych, gdzie Alcyna mieszka?
 A na to tamten: — Jest, jak mi mówili,
 Droga, lecz przykra nawet i dla pieszka.
 W prawo się ona poprzez gąszcz przeciska,
 Byleś spiętrzone przebył wprzód urwiska.

56.

Lecz bezpieczeństwa szukać na tej drodze
 Lub ujęć zasadzki, nie jest łatwa sprawa.
 Byś w gród Aleyny twe skierował wodze.
 Sprośnie tam czyha zgraja poczwara żwawa.
 A ten znów zamek tak jest bronny srodze.
 Że kto weń wstąpił, ten się jeńcem stawa. —
 Rogier, dziękując, pilnie słów Rycerza
 Słucha, a potem przed się iść zamierza.

57.

Więc po rumaka sięgł i dłońią śmiała
 Krótko go ściągnął. Wtem w nim chęć junacza
 Z rozsądkiem walczy. Bo mu tak się zdało:
 By po swej woli tego miał skrzydłacza.
 Któryby, lecąc, zdrowo go i cało
 Niósł tam jedynie, kędy się roztacza
 Dział Logistyli — a tak, Rycerz młody
 W Aleyny pętach mógł nie zaznać szkody.

58.

Więc obłokami, co się w słońcu złoça,
 Wprost w cel go wzniosą dziwne żrebca skrzydła.
 Lecz nuż ten pójdzie, Bóg wie gdzie i poco —
 Jako nawykły nie chceć znać wędzidła?
 Rogier pomyślał: — Zmogę go przemocą! —
 Alie w tej myśli sam się on usidła.
 Gdyż, ledwie wzleciał — ażei, z toni sinej,
 W oczach cudowny błysł mu gród Aleyny!

59.

Patrzy — wokoło niezmiernego kręga
 Mur się zatacza — i ten, niemal do tej
 Wyżyny w niebie, co i słońce sięga —
 A jest od stóp swych aż po blanki złoty.
 Ktoś rzekłby: — jakaś chyba tu potęga
 Alchemicznymi bawi się roboty! —
 Ja nie wiem: pozór, sen to jest, czy jawa?
 Lecz mnie on z blasku złotym się wydawa.

60.

Ujrzawszy Rogier mury te spiętrzone,
W których moc wszysej patrzą dziwem zdjeci,
Wstrzymał się, aby prosto w groźną bronę
Z nim rumak nie szedł mimo jego chęci.
Bowiem pomyślał: — Chyłkiem ztąd przewionę
W ubocze szlaki. — Wtem, gdy znagła skręci,
Nadbiegłszy zewsząd, z piekła rodem tłuszcza,
Ni go już naprzód, ani w tył nie puszcza.

61.

Podobnych poczwara, ni wyśnily czyje
Sny, ani żadna mowa nie wypowie!
Ci, niby z kształtów ludźmi są po szyje —
A z pyska małpy, świnię lub osłowie.
Ten rzy, ten szczeka, kwiczy, albo wyje.
Ten pół jest niby człek, a zwierz w połowie.
Bezwstydne dziady, oraz młódz obrzydła —
Ci całkiem goli, owi w skórach z bydła.

62.

Ów, na czartowskie jadąc dziewosłęby,
Na psie lub kozle siedzi, jak przyszyty.
Ten wsiadł na krowę zbrojną w dziecze zęby.
Czaple, lub strusia z furczącemi kity.
Ten ma na nosie róg, ten dzban u gęby —
Samice, samce i hermafrodyty,
Ten obcęgami, ów się różnem sierdzi.
Ten młot ma w łapie, drąg lub kawał żerdzi.

63.

Ów, który wodził te poczwarne dziwa,
Pekaty mając brzuch i pysk odęty,
Na zółwiu siedział — i, rzecz osobliwa!
Lecz jego rumak, jak mógł, zbierał pięty.
Dwóch go trzymało — a on wciąż się kiwa
Sapiąc i drzemiąc, gdyż był mocno cięty.
Ten ślinę zbiera z gęby tego stracha,
Drugi dla chłodu płachtą w niego macha.

64.

Wtem, jakiś niby człek z tej podłej dzieczy,
Co psią miał mordę, łeb i uszy obie,
Rogiera strasząc, ostro zaskowyczy:
By ten koniecznie w zamek szedł w tej dobie. —
Rzekł Rycerz: — Precz ztąd, chłystku ty zbrodniczy!
Siłę mam w pięści, i co chcę, to zrobię. —
Jakoż, nie bawiąc, mieczem gołym błyska,
Wprost godząc w zęby warczącego pyska.

65.

Potwór ku niemu, mieniąc się w olbrzyma,
Z oszczepem obces. Lecz on cios wymierza
Wprost w brzuch nędznika, aż mu więcę plecyma
Żelazo wyszło. Wtedy już puklerza
Pozbywszy, Rogier miecz oburącz ima —
Lecz wrogów kupa rośnie coraz świeża.
Ten z przodu, z tyłu, ten go z boków utnie —
A choć on wszędy siecze ich okrutnie,

66.

Choć łby i piersi na kapustę płata,
Prawie nie patrząc jak — i choć wrogowie
Nie mają zbroi, szłyka, ni bułata,
Ani obrony żadnej, co się zowie —
I choć tem większa jest z ich strony strata —
Niemniej tak rojno wzrasta ono mrowie,
Że chcąc ich zdala trzymać — nawet siły
Bryjarejowych rąkby nie starczyły!

67.

Mógł wprawdzie Rogier sięgnąć do pułiska,
I tam z pokrowca wziąć ów puklerz srogi.
Którym, jak wiemy, Atlant niegdyś zblizka
Ślepotą raził swe najteższe wrogi¹⁾.
Tym, niechby słońca blask im w oczy ciska,
Wzrokby tracili i padali z trwogi.
Ale on tylko w męstwo wierząc harde,
A zaś podstępom siuszną dając wzgardę.

¹⁾ O tem w Pieśni IV. 25, 34.

68.

Rzekł: — Wstyd mi uleźć przed tą dziecą wrażą.
Wziąć im się nie dam — umrzeć się nie boję! —
Wtem, znagła, w głębi, pod błyszczącą strażą
Zębatach murów, pękły wrót podwoje —
I w nich dwie konne dziewczki się ukazały,
A te się zdały być paniątek dwoje —
Bowiem, nie żaden był pastuszy lichy,
Lecz pałacowe wiały z nich przepychy.

69.

Na jednorożcu każda z nich siedziała,
Bielszym od śnieżnej gronostajów biel! —
W tak cudnych szatach, takich kształtów ciała
I wdzięków takich ludzie nie widzieli.
Kto raz w nie spojrział, temu dusza cała
Szła w zachwyt, jakim cieszą się anieli!
Słowem: że piękność — powiem na jej stronę —
Wyglądać mogła tylko tak, jak one!

70.

Obie podbiegły tam, gdzie miał dać głowę
Rogier przez dziwne uciśniony wrogi.
Ci wnet precz poszli — a zaś panny owe
Stały mu w serce uśmiech ust swych błogi.
A on — choć mężnym chętnie wciąż go zowie —
Spłonał, jak róża — i wraz, rad z swej drogi,
W ten gród błyszczący, choć go nie chciał wprzód,
Dał się wieść, wzięty w matnię przez ich złudy.

71.

W bramę tam trudno stopą wejść zbyt skora —
Bo tylko spojrzenie w drzwi jej wnek pochyły —
Toćże tam perły iskrzą się, i góra
Kamienie, jakich Indye nie wysnuły!
I wejścia do niej strzeże słupów czworow,
A każdy z jednej jest dyamentu bryły!
Czy on prawdziwy, czy udany, nie wiem —
Dość, że oslepią ogni swych zarzewiem.

72.

Górą, po gankach, z lubieżnemi szalą
Biegają płochę luźnych cnót dziewczęta.
Te, gdyby większą cześć dla siebie miały,
Byłaby jeszcze słodsza ich ponęta.
Z mgły modrych rąbków strój tych dziewcząt cały,
A wianek świeży złoty włos ich pęta.
Więc one, oczu swych i ust urodą
Wabiąc, Rogiera w Raj swój Ziemski wiodą.

73.

Tak bowiem gród ów godzi się najprościej
Zwać, kędy Amor bywa nieprzerwanie!
Tam ciągle żyjesz w płasach i w radości —
Słowem: codzienne miewasz świętowanie.
Nigdy na włosach ani szron ci gości,
Ni choćby troska w sercu twem postanie.
Tam nikt nie łaknie karmu ni odzieży.
Lecz obfitości rogiem wszystko mierzy.

74.

Tu lekka stopa wiecznie w kwiatach brodzi,
Tu strug szemrzących nigdy lód nie zetnie.
Tu młódz, przy grzecznych pannach, jak najslodziej
Lub w lutnie brzęczy, lub dmie w dźwięczne fletnie.
Tu się po gajach snują wiecznie młodzi,
Lub w chłód się pieczar chroniąc w skwary letnie.
Kochanków roje — każdy swój ze swoją —
Kłóć się, godzą i rozkosznie broją.

75.

W drzew liściach, w krzewów prątkach, w każdej chwili,
Amorków psotnych uśmiechnięta dziatwa
Fureze, jak ptasząt rój lub rój motyli.
I tam zwyciężać rzecz im dziwnie łatwa!
Ten w kołczan sięga, ten się strzelać sili.
Ten oczka siatki tkanką z kwiatów gmatwa,
Inny na głazie ostrzy grotu swoje,
Lub je hartując, nurza w chłodne zdroje.

76.

Wtem Rogierowi dan jest rumak drugi,
Cisawej maści, jak chce cześć junacza.
W pereł się rzędy i w kamieni strugi
Kapiący złotem czaprak z niego stacza.
A zaś — iż nie jest zdatnym do posługi —
Atlantowego wzięto w straż skrzydlacza.
Wiódł go paź krzepki krótko, tuż u pyska —
Ale go ani krzywdzi, ni uciska.

77.

Potem, uroczych owych panien dwoje,
Które poczwarom wzięły precz Rogiera,
Gdy z nimi staczał tak zawzięte boje,
Że niż im uledez, raczej śmierć wybiera.
Rzekły: — Rycerzu! świetne czyny twoje,
Które po świecie cześć rozniosła szczera.
Te nam otuchą w doli są sierocej:
Że i my znajdziem dłoń twą ku pomocy.

78.

Patrz — trzęsawisko dzieli tu w połowie
Cudowny kraj ten w lewy brzeg i prawy —
Tam jędza, co się Eryfilą zowie.
Most trzyma, słynny czartowskiemi sprawy.
Ci, co go przejść chcą, ważą swoje zdrowie,
Gdyż jest olbrzymką z siły i z postawy —
Ma wilcze zęby, w pysku jad, a w łapie
Pazury ostre, i jak niedźwiedź drapie.

79.

Dość, że nietylko mostu przejść nie dawa,
Ale aż w góry, i po wód zwierciadła,
Po kraju całym, ciężka z nią jest sprawa —
Tak ją gdzie zajrzyć nosi chuć zajadła!
I wiedz: że także zgraja ta plugawa,
Która u wejścia w gród cię ten opadła,
Godna to dziatwa tej poczwary łona:
Drapieżna, wstętna, podła jak i ona. —

80.

— Nie w ten tu jeden, lecz w tysiączne boje —
Rzekł Rogier — iść mi każcie miłe panie.
Wam ja oddaję wszystko, co jest moje,
Więc wola wasza niech się moją stanie.
Bowiem jest celem tych, co noszą zbroję:
Nie ziem lub skarbów tylko zdobywanie,
Lecz służyć słabszym obowiązek mamy —
Tembardziej takim, jak wy, piękne damy. —

81.

Więc grzeczne panny, grzecznych słów Rycerza
Godnemi będąc, z wdzięczną mu ochotą
Towarzyszyły aż tam, kędy wieża
Przez most przeprawy broni. Wtem zaś oto,
Wypadłszy na nich, wiedźma im wyszczerza
Zęby, i broń swą, z której kapie złoto...
Lecz to w następną pieśń dopiero kładę:
W jaki to sposób Rogier dał jej radę. —

PIEŚŃ VII.

TREŚĆ PIEŚNI.

Z butną się Rogier Dziewięsilką mierzy,
Poczem w Alcyny dworzec prosto jedzie:
Tam on, z miłosnych wielce rad wścierzy,
Grzeźnie w rozpustne pani tej gawiedzie.
Ale wtem, Wróżka Dobra, jak należy,
Chcąc ocalenie w tej mu przynieść biedzie,
Pierścieniem jego dziewczki urodziwej,
Odczynia wszelkie złej Alcyny wpływy.

1.

Kto się daleko wybrał — znajdzie rzeczy,
W których niełatwo zbliżka mieć ufanie.
I mówiąc o nich, gdy ich sam nie przeczy,
Za kłamcę ujdzie i już tak zostanie.

Bowiem wątpiący wiecznie ród człowieczy
Dopiero wierzy, gdy dłoń trzyma w ranie.
Ztąd nie dziw, że kto czei przesady stare,
Temu, co powiem, da z trudnością wiarę.

2.

Lecz, bym popisu szukał przed hołotą,
Lub nie mi na tem, albo bardzo mało.
Gdyż owe rymy szczerą prawdę plotą
Tym tylko, których teńnienie Muz obwiało.
Więc dla nich śpiewam, bo mi idzie o to,
By owoc trudów moich był mi z chwałą. —
Ztąd wróćmy w miejsce, gdzieśmy zostawili
Ów most, pod strażą srogiej Eryfilii.

3.

Ta miała zbroję skrzącą znamienicie
W kamieni przemoc — tak, że światłość zbladła,
W ich krwi, w zieleni, w tęczach i w błękiecie,
Ślepiąco grała w blaski i zwierciadła. —
I czy na koniu Jędrza szła, myślicie?
O! nie. Wilkowi na grzbiet ona wsiadła —
Wilkowi mówię, tam, przy rzeki skrócie —
A pod nią czaprak świetny nad pojęcie.

4.

Wątpię, czy kiedy, gdzie w oblawy sidła,
Wołowi równy wilk się taki wgnęł!
I nie miał w pysku trzgli, ni wędzidla,
Ztąd nie wiem, jak on jej ulegał chęci.
A wdziąca zaś Wiedźma ta obrzydła
Na zbroję kaftan taki, jak nadeści
Pralaci noszą chciwi dworskiej łaski —
(Nie krojem, ale barwą) — w płowe piaski.

5.

Na jej się hełmie i na tarczy mrowi
Ropuchy pomiot brzydki mjadem wzdęty;
Panny ją śpieszą wskazać rycerzowi,
Chcąc od mostu wręcz mu czynić wstręt,
By z niezem odszedł, jak już nieraz owi,
Co się kusili w miejsce tych wejść ponęty. —

Wtem także Wiedźma ryknie: — Jam tu panią! —
Lecz Rogier z drzewcem jak wiatr dmuchnął na nią! —

6.

Nie mniej olbrzymka nad swój rozum śmiała
Na onym wilku pomknie też z kopyta,
Z włócznią złożoną w tok, i tak leciała
Aż ziemia pod nią jękała frasowita.
A wtem runęło brzemie wiedzmy ciała —
Gdyż ją mój Rogier z góry w łeb przywita,
I tak ze strzemion pięty jej wypłoszy,
Aż na sześć sążni poszła precz z rozkoszy.

7.

I już jej własny oręż dzierząc w dłoni,
Miał chęć tej rybce kark rozłaczyć z głową,
I nawet rzecz tę spełnić któż mu wzbroni?
Toż z nóg ją zwalił. Wtem z ust panien słowo
Błagalne słyszy: — O! dość! dość! Już po niej!
Nie płam zwycięstwa zemstą zbyt surową!
Wspaniale w porę cofnij miecz swój srogi,
Przejdź most, i wspólnie bieżmy w miejsce tych progi. —

8.

Przez gęstwy pełne zrad, przez rumowiska,
Ścieżyna stroma wiodła w ciężkim trudzie,
Aż gdzie w obłokach skały szczyt przebliska —
Ptak się tam chyba gnieździ, nie zaś ludzie!
Przecież, jej zrębów gdy już dotrą zblizka,
Czarowny ujrzą smug — a tam — o cudzie!
Dworzec się do nich śmieje tak uroczy,
Jak podobnego nie widziały oczy.

9.

Piękna Aleyna wyszła też niezwłocznie
Witać Rogiera przed pierwszemi wroty,
I jak miłosne chciały mieć wyroczenie,
Zdobywcę mostu wiodła w dom swój złoty.
Tu dwór jej cały pod niebiosą pocznie
Rycerskie jego tak wysławiać enoty,
Że już nikomu większej czei nie trzeba —
Chybaby Bogu, gdyby zstąpił z Nieba.

10.

I nie sam pałac wprawiał w podziwienie,
Choć doń się inne ani umywały.
Lecz orszak dziewię pięknych nieskończenie —
Dwór to na świecie nigdy niebywały!
Trudny tam wybór. Każda w równej cenie,
Z nadludzkich wdzięków! Przecież berło chwały
Wśród nich Alcyna dzierży urodziwa,
Jak wśród gwiazd słońce najpiękniejsze bywa!

11.

Postać jej była... Jakiż malarz zdoła
Odtworzyć pędzlem to rozkoszne ciało?
Włos się jej płowy w skrętach wiał od czola.
I niema złota, co by tak błyszczało.
Uśmiechem błogim kwitnie twarz wesola —
Róża się na niej żeni z lilią białą.
Nad podziw gładkie skronie tej piękności,
Zda się przybytkiem, gdzie sami spokój gości.

12.

Z pod brwi czarownie zgiętych jak dwie fale,
Dwie czarne gwiazdy w oczach skrzą tej pani.
Z pozoru skromne i łagodne, ale
W nich Amor fruwa, z nich strzałami rani
Wszelkiego śmiałka, który w słodkim szale,
W serce je bierze, rad choć umrzeć dla niej.
Pod niemi nosek tak toczony pięknie,
Że nań spojrzawszy, zazdrość chyba pęknie.

13.

Poniżej nieco, w dołki dwa ujęta,
Ust rozkosz kwitnie świeża i wiśniowa,
Wybranych pereł wpośród nich ponęta
To się ku światu wdzięczy, to się chowa.
Z nich też najtwardsze serce bierze pęta
Przez mowy słodki dźwięk i trefne słowa.
Tam też mieszkają błogie uśmiechnienia,
Które mi człeku ziemia w raj się zmienia.

14.

Śnieżna jej szyja zlekka różowawa
Olsniewa blaskiem — a jej wzdęte łono

Z kości słoniowej czary dwie podawa.
Te zaś falują, jak gdy w ton powioną
Wiatry, od czego gra przypływów ława...
Reszty, sam Argus, ów ciekawski, pono
Jużby nie dojrzał — głosząc, nieużyta
Tę przemoc wdzięków, które przed nim skryto.

15.

Ramiona miała krągłe doskonale,
A smukłe w palcach, drobne jej rączeta.
Paznogi blaskiem lśniły jak opale —
Kto je raz ujrzał, wiecznie popamięta!
Jej nóżka zresztą... czyż ją dość wychwałę?
W podbiciu wzniosła, wązka i wygięta...
Słowem, mieszkańcy Niebios nieodrodnii
Nie mogli piękniej być przybrani od niej!

16.

W ruchu jej każdym była moc wycierzy:
W uśmiechu, w mowie, w błysku żrenie, w śpiewie.
Więc nie dziw, że się Rogier jak najszybciej
Rozszalał wprędce w tej kuszącej Ewie.
W przewrotność, w chytrą, w złość jej ani wierzy,
Mieniać być kłamstwem głos w zaklętym drzewie.
Bo nie wie nędzny, że to fałsz i zdrada
W tak czarodziejskie złudy się układa.

17.

I w siebie nawet wmawia: że jeżeli
Astolf się przez nią w mirt zaklęty zmienia —
Wziął to, co każdy, gdy się zbyt ośmieli —
Godzien większego jeszcze potępienia!
Ztąd wszystko, cośmy z jego ust słyszeli,
Mniema być pomstą, a zaś ostrzeżenia
Postrachem, który, pod przyjazni tarczą,
Doznawszy kłeski, bluźni jej potwarczo.

18.

Ta piękna, którą dotąd kochał tyle¹⁾,
Znagła mu z serca pierzchła precz jak strzała!

¹⁾ Bradamanta, siostra Rynalda. Pieśń II. 31.)

Gdyż mu Alcyna, eudem, w jedną chwilę,
Z ran wszelkie dawne czucie wypłukała —
Sama mu chcąc być panią, w dziwnej sile
Umysłu darów i powabów ciała.
Ztąd, któż kamieniem rzuci w tego męża,
Którego siłę czarów moc zwycięża?

19.

Więczę u stołu, ucztę gdy podano,
Arf, cytr i fletni dźwięki, w zgodzie milej
To pojedynczo, to znów zręczną zmianą
Wspólnie, z wietrzyków szmerem się kłóciły.
Wtem ktoś zanucił słodką pieśń wiosnianą,
Toż wnet miłosny śpiew namiętnej siły.
Wnet znów poezya, wnet znów ucho pieści
Rytmiczna proza trefnych opowieści.

20.

Zaprawdę, ucztą Sardanapalowa
Przepyszną była — równie też wspaniale
Tych ugaszczała Nilu wód królowa,
Którzy jej Nil ten zabrać chcieli — ale
Z tą w porównaniu każda w kąt się schowa,
Którą jadł Rogier ku miłosnej chwale —
Z jedną się chyba ona zrównać nie da,
Na której Jowisz pił z rąk Ganymeda.

21.

Wkońcu, po uczcie, gdy precz wzięto stoły,
Zasiadłszy wieńcem, w ona grę zagrano,
W której, jak zwyczaj każe mieć wesoly,
Swoją swą mówi w ucho rzecz szeptaną.
Więc nasi dwoje, będąc już na poły
Sam na sam, przysiąg wymienili wiano,
Wreszcie przyrzekli sobie jak najsmielej,
Że więc tej nocy schadzkę będą mieli.

22.

Z woli Aleyny, w krótszej, niż to bywa,
Zabawę ona, zakończono porze.
Wtem paziów orszak, wnosząc blask łuczycywa,
Z nocy różaną zagnała zdziałał zorze.

Zaczem, powstawszy, rzesza wnet gwarliwa
Rogiera wiodła w dziwnie cudne łożo,
Które z świetnością nigdy mu nieznaną
W najprzepyszniejszej z komnat zgotowano.

23.

Tam win i cukrów — nie wiem sam, jeżeli
Słodziej być mogą — wszędy moc dokoła!
Więc, aby sam już został, tamci jeli
Odehodzić, korne pochylając czoła.
Rógier w pachnące rąbki wszedł pościeli,
Jaką Arachne tylko utkać zdoła,
A wciąż, w uwadze śledzi nateżonej,
Czy nie nadchodzi luba z której strony?

24.

Tak na najcichszy szelest w każdej chwili
Głowę podnosi, sądząc, że to ona.
Choć nie nie widać, on się widzieć sili —
W rozwarłe gotów porwać ją ramiona,
To się przechadza, to znów drzwi uchyli —
Nie i nie — nigdzie! Więc z boleści kona,
Czasowi łajac, który ślamazarnie
Pełza, nie mając względu na męczarnie!

25.

Rzekł sobie: — „teraz wyszła już“ — i liczy:
Ile też kroków może być daleka
Aleyny droga, od tej samotniejszej
Komnaty, w której on, drżąc, na nią czeka?
Wtem zagnała inne, pełne znów goryczy
Powątpiewania dręczą tego człowieka —
I myśli: — czyżby szczęście precz mu wzięto
W chwili, po owoc gdy miał dłoń ściągniętą?

26.

Tymczasem, wonna techniem świeżej róży,
Starannym strojom dawszy czas niemały,
Aleyna piękna nie chce zwlekać dłużej.
I gdy już wszędzie światła w mgłach skonały,
Ze swej sypialni zjecha się wynurzy,
Tam prosto niosąc swe miłosne szaty,

Kędy z nadzieją rozpacz z całej siły
W Rogiera sercu długi czas walczyły

27.

Ten skoro ujrzał drżące z pod zasłony
W ciemnościach oczu jej gwiazdzistych zorze,
Radością wielką wszystek zapłoniony,
Sam sobą władać dłużej już nie może.
Więc namiętnemi ujmie ją ramiony,
Do serca garnąc — a w tej samej porze
Ona, jak wdzięcznej przystało kobiecie,
Na szyi obie rączki mu zaplecie.

28.

I. czarodziejka, w ten swój uścisk miękki
Włożyła całą, że tak powiem, duszę,
Mało już na to dbając, że swe wdzięki
Daje na pastwę uczuć zawierusze.
A miała rąbek na sobie tak cienki,
Że, jakbądź wstydu pełen, wyznać muszę:
Tę z niej osłonę niby puch leciuchną
Łatwo gorące pocałunki zdmuchną.

29.

I nie wiem, powój ze swą brzozą czyli
Splotą się tak, jak pan ten i ta pani,
Skoro dotknięciem swych się ust spoili,
Żądz upojeniem, rzekłby kto, pijani.
Że dłużej nie śmiej onej krotoczwili
Wam opowiadać, niech mię nikt nie gani,
Gdyż właściwemi rzecz chcąc wydać słowa,
Trzebaby chyba w ustach mieć dwie mowy

30.

Zresztą, tajemnie owych żadna zdrada
Nie wyjawiała treścią słów macoszą.
Bowiem o cnotach mileży zazdrość blada.
Zdrożnościom tylko chętna jest z rozkoszą.
Zaczem też odtąd, przyznać to wypada,
Rogiera wszyscy radzi w sercu noszą
Czezą go, i niemal przed nim gną kolana —
Gdyż tak Aleyna mieć chce zakochana

31.

I niema uciech, których nie jest w stanie
Dostarczyć pobyt w krajach tej królowej!
Szat i klejnotów zbytek, niesłuchanie
Rozrzutny w cenie, a co chwila nowy!
Codzienne uczty, wieczne świętowanie,
Kapiele, tańce, gry, przejażdżki, łowy,
W chłodnikach wreszcie, gdzie wód miły spadek,
Czytanie błogich o miłości gadek.

32.

To przez rozłogi pędząc z psiarnią skórą,
Wrzawliwie szczują trwożnych serc zające —
To się z ogary czając inną porą,
Z chrustów bażanty wypłaszają w słońce —
To znowu w sidła lub na lepy biorą
Ptactwo, jałowcem wonnym się żywiące —
To w sieci łowią lub na wędkę nęcą
Rzecznych mieszkańców rzeszę pacholecą.

33.

W takich to zbytkach Rogier zbył swej zbroi,
Podeczas gdy inni walcą gdzieś zawzięci!
Ich też opuścić nie jest w myśli mojej,
Też Bradamanę w pilnej mam pamięci.
Ta się strapieniem ciężkiem niepokoi
I lży rzewliwe kochankowi święci,
Który, w jej oczach, w skrzydeł złych powiewie
Pomknął, a ona, gdzie go szukać, nie wie.

34.

Więc naprzód o niej. Próżno, w owym czasie,
W gór, rzek, parowów, czarnych puszczych obłędzie,
Wśród siół, pustelni, grodów — słowem, zda się,
Po ziemi całej, wszecz i w podłóż, wszędzie —
Swej straty ona szuka, która zaśię,
Jak wiemy, od niej coraz dalszą będzie —
Wreszcie w obozy Saraceńskie zmierza,
Lecz i tu próżno ścigać ślad Rycerza.

35.

Codzień uważa, byle tłum gdzie jaki,
 Czy jej kto wieścią o nim nie ucieczy.
 W gospód, w namiotów wnętrza i w baraki
 Wchodzi, słuchając mów bojowej rzeszy.
 I bez najmniejszej czyni to poznaki —
 Równy jej całkiem: jezdny kto, czy pieszy,
 Gdyż byle pierścień on Czarnoksiężnika
 Włożyła w usta — wnet z przed oczu znika¹⁾.

36.

By nie żył Rogier, znać ni chce, ni może.
 Bo gdzież? Zgon przecie tak wielkiego człeka,
 Od wód Hidaspu, aż gdzieienne zorze
 Do snu się skłania, byłby grzmiał zdaleka!
 Nie wie, co sądzić: gdzie on jest w tej porze:
 Czy tu, czy w Niebie? Tylko wie, że czeka
 I że go znaleźć chcąc, do tego dzieła
 Łzy i ból srogi w drogę z sobą wzięła.

37.

W końcu się skłania wrócić do pieczary,
 Kędy Merlina szczątki mają święto²⁾,
 By tam zaklinać głąz grobowca szary,
 Ażby litości wzruszył się ponętą,
 I rzekł jej, wieszczę wygłaszając czary:
 Czy żyw jest Rogier? czy też byt mu wzięto?
 Zkądby już wiedzieć mogła piękność łzawa,
 Co jej na przyszłość czynić pozostawa?

38.

Więc się zaradzić chcąc onego dziwa,
 W Czarny przed sobą pomknę bór jak strzała,
 Kędy do czasu śpiący Wieszez przebywa,
 W puszczy, co nad nim szumi osowiła.

¹⁾ Talizman, robiący człowieka niewidzialnym. Zdobyła go Bradamanta na Brunelu, dworzanie Agramantowym (w pieśni IV, 14).

²⁾ Opis tej pieczary znajduje się w pieśni III, 6 i następne.

Lecz w tymże czasie, Wróżka Dobrotliwa,
 Co Bradamantę ciągle w myśli miała.
 Ta Wróżka, mówię, która w swej pieczarze,
 Przyszłych pokoleń czeiła w niej Moczarze¹⁾.

39.

I przeto Mądrą się przezemennie zowie,
 Bowiem tę miała w swej opiece błogiej,
 Z której się zrodzić mieli potomkowie
 Niezwyciężeni, prawie że półbogi. —
 Ta, w sercu nosząc Bradamanty zdrowie.
 Wszystkie jej znała lzy, tęsknoty, trwogi,
 I wie, iż Rogier wziął swobodę, poczem
 W lichej Aleyny sidle lgnie uroczem.

40.

Gdyż go widziała: jako był w rozprawie
 Z koniem, któremu w łeb szaleństwo wsiadło —
 I jak na długą zmagła przepadł prawie,
 Lecąc, gdzie nie chciał, w dal błękitem zbladła —
 Aż potem ugrzązł w ucich złych bezprawie,
 W próżniactwo, zbytek i wykwinne jadło —
 I jako w sercu swoim już nie mieści
 Króla, kochanki, ni swej własnej cześci.

41.

I jak w ten sposób rozkwit jego doli
 Złych namiętności chwasty wprędce zgłusza.
 Tak, że dostojny rycerz ten dowoli
 Zwiędnie i wreszcie zamrze razem z duszą,
 I woń się nawet z niego nie wyzwoli
 Która, choć zwłoki pójść w mogilę muszą
 Sprawia, że człowiek, późnych lat plemiony.
 Ni jest zdeptany, ni wykorzeniony.

42.

Otóż, ta dobra Wiedźma, co w swej pieczy
 Większe ma o nim niż on sami staranie,

¹⁾ Bradamanta, jako przeznaczona Rogierowi oblubienica, była również prababką rodu Estenskiego, co się też wyklada przez usta Melissy, w pieśni III, poczynając od 23—63.

Sprawi, że pchnięty w twardy byt człowieczy,
Wbrew się swej woli znów enotliwym stanie,
Jak ten wyborny znawca, który leczy,
Nóż albo ogień zagłębiając w ranie,
Tak, że leczony, choć mu zrazu biada,
Wielec jest w końcu rad, i dzięki składa.

43.

Lecz tu z Aleyną przyszło być w rozterce.
Ta bowiem, w ślepej żądy, jak widziecie,
Cześć wziąć mu chciała wzamian za swe serce,
W czym jej zły Atlant dopomagał skrycie,
Woląc, by Rycerz, raczej jak bluźnierce
Prawdy i męstwa, wiódł hańbiące życie,
Nizby, choć chwilę, dla największej sławy,
Miał mieć w pogardzie zawód swój plugawy.

44.

Przeto na wyspę wysłał go Alecny,
By mu tam czystość była precz odjęta.
A jako w sprawach czarnych Mistrz jedyny,
Który o wszystkim co jest złe pamięta,
Dwojga kochanków onych zrękowiny
Swych zaklęć mocą sprzął w tak silne pęta,
Że je nie prędzej zerwać pewnie pora,
Ażby był Rogier dożył lat Nestora.

45.

Niemniej, powiadam, Dobra Prorokini,
Co tyle świetnych spraw przejrzała z góry,
Z umysłu w puszczy krok pośpieszny czyni,
By iść naprzeciw Amonowej córy.
Ta zaś, wieszczbiarka gdy stanęła przy niej,
Zaraz w swem sercu zmogła żal ponury
Wtem z ust ją Wróżki dojdzie wieść straszliwa:
W jak groźnych siłach Rogier jej przebywa.

46.

Więc Bradamancie zbladło lice hoże,
Że jej kochanek w takie wpadł skaranie.
— Ach! jeśli szybko pomódz mu nie może,
Cóż z nim i cóż się z jej miłością stanie?—

A wtem jej wróżka przez pociechy Boże
Balsamem koi ból w zadanej ranie,
I obiecuje, że tak losy skłoni,
By w dni niewiele Rogier wrócił do niej.

47.

— Tylko ten pierścień—rzekła—co w złej dobie
Zbawczym ci bywa, daj mi, tak ci radzę.
Z nim ja poszedłszy, wszelką krzywdę zrobię
Tej, co nad lubym twym posiada władzę.
Zgniotę ją, zmiażdżę i w niedługiej dobie
Twoją ci słodką zgubę przyprowadzę.
Lecz ztąd, nim słońce do snu głowę złoży
Pójdę, by zająć tam równo z brzaskiem zorzy —

48.

Potem jej dalsze spowiadała sprawy:
— Kedy i kiedy i jakimi drogi
Zdziała, by Rogier, z jarzma swej niestawy
Wyswobodzony, szedł w rodzinne progi.—
Więc Bradamanta pierścień swój złotawy
Z palca, a z piersi serce w żądy błogiej.
A z niem i życie była dać gotowa—
Byle go Wróżka ocaliła owa.

99.

Tedy jej pierścień drogi swój powierza,
I droższą stokroć najdroższego dołę,
I pozdrowienia setne dla Rycerza,
Poczem dumając dąży z puszczy w pole.
Tymczasem w tamtej myśl się rodzi świeża,
Więc tam źrenice zwraca swe sokole,
Gdzie nadbiegając koń tętentem huczy—
A ten był pęcin rdzawych, sierci kruczej.

50.

Snadź jakiś Chochlik, co go z wód przezroczy
Ułudy zaklęć znagła w świat wywioda!
Nań bosa wróżka z włosem w wiatrach wskoczy,
I mknie, w obłokach z szat, że zda się młodą!
Lecz z palca pierścień zdjęła wprzód uroczy,
Aby w zaklęciach nie był jej przeszkodą.

I tak pędzeniem gnała znamienitem,
Że koń na wyspie stanął z nią przed świtem.

51.

Tu się cudownie wzrostem swego ciała
I wymiarami członków przeistacza,
I pozór sobie znacznie tęższy zdziałą,
Tak, że z postaci, dziewka ta junacza
Za Czarodzieja tego ujść zdołała,
W którym to Rogier miał wychowywacza.
Owo też sobie brodą twarz upstrzyła.
A skroń i czoło w bruzd i zmarszczek siła.

52.

Więc mowy dźwiękiem, ruchem ust i słowy
Tak się go biegle naśladować sili,
Że więc z niej Atlant był od stóp do głowy!
A tak, cichaczem pocznie patrzeć chwili,
By kochankowie raz, przez traf jakowy,
Zdała od siebie, nie zaś razem byli.—
Aż przyszło na to—choć Alcyna tkliwa,
Wszędzie i zawsze tam, gdzie Rogier bywa.

53.

Sam był—tak właśnie Wróżka sobie życzy.
W rzeźwe, pachnące świeżą wiosną rano,
Nad zdrojem dumął, z szmerów się słodczy
Próżniaczko ciesząc. Bowiem—sroga zmiano!
O! w jakże miękki, w jakże niewolniczy
Strój, własny jego meztwa brak przybrano!
To więc Alcyna własnych rąk robotą
Tak go osnuła: w bisior, puch i złoto?

54.

Piers mu się w tęczę klejnotami mieni,
A łańcuch cenny w krąg mu obwiodł szyję.
A otoczenie skrzące od kamieni,
Jakby kobiecie, wkoło rąk się wije—
W przekłutych uszach (czyż to gdzie szalenię
Spodlić się mogły męskie uszy czyje?)
Kolee mu iskrzą, zdobne perły dwiema,
Jak większych w Indyach, ni w Arabii niema!

55.

Włos utrefiony maści mi mu polyska,
Fijołków błogą szerząc woń i róży.
Rozleniwały wskrós, wyglądał zblizka
Jak gach, co w służbie zalotnicy służy.
I nie już nie miał w sobie prócz nazwiska
Z dawnego bytu ten mąż ręki dużej!
Tak to go krzywe złej miłości siły
Od stóp do głowy innym uczyniły!

56.

Więc stając przed nim ta, co weszła w ciało
Bieglego w Wiedzy czarnych słów Mocarza,
Z postawą możną, godną czei a śmiałą,
Która mu nigdy nie bywała wraza,
Lecz patrząc groźnie, jak się to zdarzało
Że go, chłopięciem kiedy był, przeraża—
Rzeknie:—Toż owoc, którym niecnót władza
Ciężkie mi moje trudy wynagradza?

57.

Na toż to szpikiem lwim i był karmiony
Niedźwiedzim mózgiem umysł twój hulaszczy—
Gdyś dzieciuch mały, jedrnych sił ramiony
Szedł weże dusić w pieczar głąb wśród haszczy,
I z łap tygrysom wyłupywać szpony,
Lub żywcem dzikom kły wyrwać z paszczy—
Abyś, kształcony wychowaniem takim,
Lichej Aleyny stać się miał dworakiem?

58.

Tyżeś, o którym gwiazdy niepowszednie,
Gdy ich po niebie wprawny wzrok mój szuka.
Widzenia, mary, sny i przepowiednie,
Jakie mi pilna mogła dać nauka,
Mówiły głośno, bym cię w noc i we dnie
Strzegł, jak rodzony dziad nie strzeże wnuka—
Boś miał z dzieł takich słynąć pod obłoki,
Jakim podobnych nie zna świat szeroki?

59.

Czyż taka przyszłość była naznaczona
Tobie, coś winien był przez mężwa dziwy
Cezara zyskać sławę lub Scypiona—
Że, jak przygodnie żęty kłos, wśród niwy
Trawy i chwastów, dzielność twoja kona
W niewoli jednej dziewczki niewstydlivej—
Która ci niemi dłoń i kark spętawszy,
Jak chce cię wiedzie w odmet najplugawszy?

60.

Wstydz się i żaluj—bo ci udowodnię,
Ze na złość temu, czego chcą wyroczenie,
Ty, w sobie samym, przez najcięższą zbrodnię,
Potomki własne zabić chcesz niezawodnie,
Tę opuszczając, która niezawodnie
Z nasienia twego w łonie swoim pocnie
Z cnót nadezłowieczych plemię tak zuchwałe,
Że aż podoła zaćmić słońca chwałę!

61.

Ach! nie daj tego, by się stać nie miało:
Że dusze, które Bóg wprost z siebie pośle,
Niezlomnym ciągiem wezmą na się ciało,
Jako idące z twego pnia odrósł.
Ach! dopuść raczej, by twych czynów chwałę
Z czasów się prądem potykając wzniósł,
Twe syay, wnuki i ich dalsze plemie,
W cześć wzbogacili twoją drogą ziemię!

62.

Twa myśl zgnębiona, gdy o przyszłość spyta
Dusz, z których błysnie Świętych Cnót zarzewie,
A których liczba dziwnie znamienita
Zakwitnie wprędce na twem płodnem drzewie,
To tam Alfosa, oraz Hipolita)

¹⁾ Obszerniejsze jeszcze o tych dwóch pochlebstwo,
mieści się w przepowiedni Melissy (Pieśń III, 50—58).

Ujrzysz, z któremi, widzi Bóg, nikt nie wie,
Kogoby zrównać w świetnych czynów cześci,
Wszędzie, gdzie tylko człek się blaskiem pieści.

63.

O dwóch tych, pomnisz, nieraz ci szeroce
Opowiadałem, w jakiej mam ich cenie.
Więc myślą o nich dziś w twą duszę grzmoce,
Bowiem nad innych wstawia tve nasienie!
Wszak słuchać chciałeś choćby całe noce,
Abym ci o nich bąjał nieskończenie,
Ciesząc się wczesnie, że ci Niebo zdarzy
Krwi twej wnukami takich mieć Mocarzy?!...

64.

Od tej, co dziś jest w sercu twem królową,
Wierz mi, nie gorsza lada nierządnicą.
I kiedy ciebie jej wybranym zową,
Tem ona mianem innych stu zaszczyca!
Więc słuchaj—jeśli, wierząc w moje słowo,
Przy blasku Prawdy spojrzeć chcesz w jej lica,
Idź—staw ten pierścień twej miłosnej chuci,
A poznasz, w co się piękność jej obróci.—

65.

Splonęła na to twarz Rogiera blada,
I wstydem niemy, w ziemi utkwil oczy.
Wtem mu Wieszczybiarka, nie nie bawiąc, wkłada
Na mały palec pierścień ów uroczy.
Więc wnet mu w serce wbiegła dobra rada—
Wstrząsł się jak ze snu, błędnym wzrokiem toczy,
I chciałby raczej żywcem być w mogile,
Niżby miał dłużej znosić zniewag tyle.

66.

Tu, Dobra Wiedźma, znowu, w jednej chwili,
Sobą się samą stawszy nagłą zmianą,
Atlanta dłużej grać się już nfe sili,
Dzielnie sprawiwszy rzecz przez siebie chcianą.
(Melissą zwie się—wiedzie moi mili—
Ta do Rogiera posłanniczka)—ano
Wraz mu wyznała uśmiechnięta błogo:
Po co do niego przyszła i od kogo?

67.

Od tej kochanki słodkiej, która prawie
 Ginąc bez niego, z żalu umrzeć życzy.
 — Dla niej to — mów — z pęt cię ja wybawię.
 W które cię obłąd wplątał czarowniczy.
 I ztąd w Atlanta przyszedł tu postawie,
 Abym pewniejsza była mej zdobyczy.
 Lecz gdy z lichemi życzysz zerwać szaly,
 Słusznie się teraz dowiedz prawdy całej.

68.

Ta piękna, która jedna godna była
 Z twych ust Miłości przysiąc słyszeć słowa.
 Ta, której sprawą, krzywych potęg siła
 W Atlanta więzach dłużej cię nie chowa¹⁾.
 Dziś ci cudowny pierścień ten przysyła,
 A z nim i serce była dać gotowa.
 Gdyby wiedziała, że ten dar z jej łona
 Zbawienia twego, tak jak on, dokona. —

69.

Dalej mu miłość ona rozpowiada,
 Jaką ku niemu płonie panna łzawa;
 Jak po jej stronie wierność jest, a zdrada
 Po tej, co cudze przywłaszczyła prawa —
 Słowem, posłanka owa, tak nielada
 Chytrze przy zgubie przeciwniczki stawia,
 Że wreszcie Rogier oburzeniem zdjęty,
 Do swej Alcyny dziwne uczuł wstręty.

70.

Wstręty! A przecież dotąd ją jedynie
 Kochał! — Lecz zawsze było tak i wszędzie,
 Że gdy czar jaki odczynieniem zginie,
 Wnet się ten trzeźwym staje, kto był w błędzie —
 Tu się zaś jasnym stało: że w Alcynie
 Pięknego nie ma nic i nie nie będzie.

¹⁾ O tem opiewa Pieśń IV, 40.

Owszem — od głowy aż do stóp swych cała
 Poczwara była — choć się cudną zdała!

71.

Jak dziecię, które smaczny owoc w krzaki
 Schowa na dalsze później uczutowanie,
 I zapomniawszy o nim, w czas niejaki
 Tamże go szuka, i niespodziewanie,
 Zamiast miłemi cieszyć się przysmaki,
 Skoro ten owoc zgniłym wskroś zastanie,
 Głośno złorzecząc zawiedzonej chuci,
 Znała go porwie w garść i precz porzuci,

72.

Tak Rogier, skoro dobrej wróżki radą
 Poszedł Alcynie w oczy spojrzeć, ani
 Przewidzieć mogąc, że w ómę pierzchnie błądą
 To, co mu blaskiem piękna wzrok tumani —
 I gdy pierścieniem błysnął — o szkarado!
 Cóż wtedy znalazł zamiast pięknej pani?
 Oto — że oczy ludzkie nie widziały
 Baby tak sprośnej, ani tak zgrzybiałej!

73.

Żeb miała siwy, boska ta Alcyna,
 A też w kołtunów licznych zdobny śmiecie —
 Twarz zmarszczek pełną, a jej gęba sina
 W dół wpadła, bo w niej zębów nie znajdziecie.
 Grzbiet się tej lubej w drżący pałąk zgina —
 Gdyż równo z Parki ją żyć na świecie!
 Lecz wtem jej była umiejętność cała,
 Że się i piękną być i młodą zdała.

74.

Młodą i piękną! Aby, jak Rogiera,
 Innych sposobną łowić mogła porą!
 Szczęściem, ów pierścień, ten z niej urok zdziera,
 Którym z niej mężni lichą zgubę biorą.
 Więc czyliż dziwno: że więc ta przechera
 Myśl mu przestała ludzić dłużej chorą —
 Skoro ją ujrzał taką, jak już zgola
 Zakłęcie żadne pomódz jej nie zdoła?

75.

Przecież, jak z góry przyrzekł był Melissie.
 Nic nie dał poznać, że w nim kipi zdrada.
 Tylko jął zbroję wdziawać — a ta lśni się
 Tak, że jest przy niej światłość słońca blada.
 I aby uspić podejrzenia lisie
 W Alcynie słodkiej, rzekł: że tylko zbada,
 Czy więc nie nabrał zbytecznego ciała,
 Odkąd na boku zbroja ta została?

76.

Więc Balizarde (imię to złowieszcze
 Mieczowi jego ze wszech miar przystało!).
 Więc ujął puklerz zbrojny w srogie dreszcze —
 (Ten, błyskawicą rażąc wzrok zuchwałą,
 Wprzód zwykł zabijać ducha, zanim jeszcze
 Ów miecz straszliwy trupem usłał ciała).
 Miecz swój do boku wziął, a tarcz przez barki
 Zwiesiwszy, jął się dalszej gospodarki.

77.

Zaczem ze stajni wywiódł na pustkowie
 Rumaka, który czarny był jak smoła —
 Gdyż mu Melissa rzekła w mądrej mowie,
 Że taki uciec jak najszybciej zdoła,
 (Kto zna go, ten go Rabikanem zowie),
 Jego to niegdyś, zśród Rycerzy koła,
 Wraz z tym co w mirt się zmienić dał, jak wiecie,
 Wieloryb chytry przyniósł tu na grzbiecie.

78.

Już Hippogryfa dosiąść był gotowy,
 Który tuż obok stał przy Rabikanie,
 Ale mu wróżka rzekła: — Strzeż swej głowy!
 Wiesz, jak on bywa krnąbrny niesłychanie!
 Ja ci go zaklę czarownicami słowy,
 Że on niebawem sam przy tobie stanie.
 Wiedz jednak, w jakim działać masz sposobie,
 Byś z nim co zechcesz zrobił, jak ja zrobię.

79.

A też dlatego zostaw go tu, aby
 Alcynie wszelkie odjąć podejrzenie. —
 Rogier brał w serce szept jej mowy słaby —
 Sam tylko widząc niewidzialną ksienię.
 Aż więc z podwórca swej lubieżnej baby
 Cicho się wymknął i niepostrzeżenie.
 Tak wspólnie z koniem bramy się dobili,
 Która ich wiodła wprost ku Logistyli.

80.

Tu, niespodzianie wpadłszy w zastęp wraży,
 Nic nie dbał, że go obskoczywszy sieką,
 Lecz ich siarczyście jako zwykły był sprząy,
 Most zaś przebywszy, znalazł się za rzeką.
 I, nim Alcyna mogła wezwać straż,
 Jej Rogier był już Bóg wie jak daleko!
 A tu w następnej pieśni się rozpowie:
 Co dalej działał, dbając o swe zdrowie.—

PIEŚŃ VIII.

12.

Alcyne, gdy ją doszła wieść złowroga:
 Jak Rogier spełnił zdrady swe junacze,
 I jak strasliwą sprawił rzeź u proga,
 Poczęły zjadać czarnych żądź rozpaczę!
 Rwie włosy, szaty targa i nieboga
 Gorzko na swoje bierne głupstwo płacze.
 I w dzwon bić każe wielce frasobliwa,
 I w pomoc wszystkie ludzkie swe przyzywa.

13.

Nie wie, gdzie szukać? — więc ich w dwoje dzieli.
 Jedni w łądowym będą biedz obszarze,

Z drugiemu dąży w morskiej gnać topieli,
 Tam, w nawę wsiadłszy, w pęd wiosłować każe.
 I nie nie pomni na to, że jeźeli
 Wszystkie najlepsze wzięła z sobą strażę,
 To jeszcze w zysku Rogier ma stracony:
 Że gród jej cały został bez obrony.

14.

W zamku też ani śladu owej dzicy.
 Bowiem, jedynie, Wiedźma ta zawzięta,
 Żywym lub zmarłym mieć Rogiera życzy!—
 Tedy, pomiędzy liczne te Panięta,
 Które w swej mocy miała czarowniczej,
 Melissa dąży zdjąć z nich dziwne pęta.
 Więc: kłątwy, Runy, z wiatrów dęte rzeczy,
 Płacze w zawiązkach, zrywa i niweczy.

15.

Ci zaś, miłością brani w lepkie sidło,
 Których zmieniała podła ta przechera
 W zdroje, w kamienie, w drzewne pnie i w bydło,
 Gdy znów im w członki wraca postać szczerą,
 By, co tehu rzucić knieję tę obrzydłą,
 Na wszystkie strony śpieszą w ślad Rogiera,
 A gdy dopadli władztwa Logistyli,
 Ztąd wszyscy zdrowo w strony swe wrócili.

16.

Tych niezrównaną wdzięczność któż wysłowi!
 Zbawczynią swoją każdy z nich ją zowie..
 A ja, niż razem wszyscy jeńcy owi,
 Pilniej zaprzęta Astolfowe zdrowie,
 Bo on krwi związkiem brat jest Rogierowi,
 A ten nietylko za nim w tkliwym słowie
 Błagał, lecz jeszcze pierścien mu powierza,
 By nawet w dalszej drodze strzegł rycerza.

17.

A gdy z onego liściastego dziwa
 Znów Astolf stanął w dawnej krasie swojej,
 Wzięła do serca wieszczka dobrotliwa,
 By też odzyskał przy swej świetnej zbroi

Tę włócznie złotą, której kto zażywa,
 W spotkaniu ostrem nikt mu nie dostoi.
 Ta do Argala niegdyś należała,
 I z niej im obu przyszła cześć miała.

18.

Tam ją znalazła, kędy i odzieże
 I gdzie chowano wszelką broń w komorze,
 Której Aleyna tak troskliwie strzeże,
 Iż w nią nigdy, prócz niej, wejść nie może..
 Poczem, dosiadłszy swe skrzydlate zwierzę,
 Astolfa mając z tyłu, w imię Boże
 Jęła tak szybko mknąć, że w jednej chwili
 Rogiera nawet znacznie wyprzedziła.

71.

Tymczasem Orland, w nieprzespane noce
 Wre od piekących myśli swych gorąca!
 I jak zdroj, gdy w nim słońca blask migoce,
 Kipi i szemrze, gdy go wichry zmaca —
 Tak on, gdy zewsząd serce mu sieroce
 Ugniata tęskność dziwnie dojmująca,
 Poprzez krużganki zamku, troską blady,
 Biega, nie mogąc sobie sam dać rady.

72.

Gdzież Angielika, jego ta władczyni,
 O której sama myśl mu jest pieszczotą?
 Ból z jej utraty tem mu droższą czyni
 Tę, którą ceni nad najszezerwsze złoto!
 Już była jego — miał być wiecznie przy niej —
 I aż od wschodu słońca wiódł ją po to,
 By nawet śladu po niej nie zostało,
 W dniu, gdy Cesarscy wzięli rozbrat z chwałą.—

73.

Tak to Orlanda gnębi w nocej dobie
 Wyrzutów gorzkich nieprzeparta siła!
 — Nędznik! Zdradziwszy ciebie, coż więc zrobie,
 By cię odzyskał? Ach! o moja miła!

Wszak dniem i nocą mogłem być przy tobie,
Gdy mi twa dobroć tego nie broniła —
Zkądże, głupotą jakąś niepojętą,
Dopuszczać mogłem, iż mi cię odjęto?

74.

Mogłem wprost nie chcieć. Cesarz byłby przecie
Uległ. A zresztą, czyżby chęć szalona
Tknęłaby ciebie, wiedząc, że po świecie
W ramieniu mojem twoja jest obrona?
Miecz było chwycić! — nie zaś, jak mdle dziecię,
Dać sobie żywcem serce wypruć z łona.
Wtedy i cesarz z całym państwem swoim
Nie byłby zdołał wziąć mi cię przebojem!

75.

Mogłem się schronić od napaści wrażej
Po za Paryżem w zamku gdzie na skale.
Teraz, gdy los mnie bezsilnością darzy,
Ni ciebie, ani siebie nie ocale!
Któż, który winien był, jak ja, na straży
Stać, straż tę pełnić, tak jak ja, niedbale?
Miałem cię równie duszą mą jak ciałem
Strzedz — nawet mogłem — cóż? gdy nie dość chciałem!

84.

Raz, gdy go dreczą sennych mar tworzywa,
Któremi igra wyobraźnia chora,
Mniema, iż panna jego urodziwa
Cierpi i że jej pomoc dać jest pora...
Zaczem się z łoża błyskiem gromu zrywa —
Odziewa w zbroję — kielzna Bryliadora —
I, mając wybiedz w kraje zgoła cudze,
Pachołka nawet nie wziął ku obsłudze.

85.

I, zamiast coby wszędzie kędy stawia,
Zasłynął dzielnie za pamięci świeżej,
Tej szachownicy nie wziął, której sława
Pół się czerwieni, pół się srebrem śnieży;

Lecz, jak mu każe jego boleść łzawa,
Raczej w żalobnej wybrał się odzieży.
Zaś szachownicę — jak to wiemy o niej —
Amosantowi wziął był ostrzem broni.

86.

Tak o północy chyłkiem się wykrada,
I w pęd, nikogo nie żegnawszy, goni.
Takiemu nawet, co mu obcą zdrada,
Brandymartowi nie uściśnął dłoni!
A gdy przed słońca skwarem pierzełła blada
Mgła, że już śladu nie zostało po niej,
Cesarskiej całej rzeszy, z wielkim sromem,
Zniknięcie jego stało się wiadomem.

87.

Strasznie się cesarz sierzdi na młodziana,
Nad którym, jako stryj, miał pilną pieczęć!
Ten, tak mu blizki — rzecz bo niesłychana
W potrzebie odbiegł najwierniejsze mieczel!
Więc nań, w swym gniewie obelżywe miana
Miotła, złorzecząc groźnie. Wreszcie rzecze:
— Jeśli nie wróci zdrajca w prędkiej porze,
To gorzko tego pożałować może!

PIEŚŃ IX.

1.

Miłośń! Jakże są, jak zwierz rogaci,
Których opęta zdrożne twe bezprawie!
Toćże tu Orlaud niewdzięcznością płaci
Takiemu, który ojcem był mu prawie!
Miał dotąd czystą sławę u współbraci
I całym sercem służył Świętej Sprawie —
A dziś, gdy własna cześć mu mniej już droga,
Z siebie się wyzuł i odstąpił Boga.

2.

Nie mniej nie dozna człek ten wzdardy mojej,
Bo w nim współnika widzę własnej doli,
I wiem, jak taki wbrew sam sobie broi:
Duch dobry w dobrem, zły zaś w tem, co boli...
Ano, mój Orland w swej żałobnej zbroi,
Pozbywszy druhów, tęsknej żądzы gwoi,
W Hiszpanię jedzie nieprzyjazną, kędy
Afryckie miały leże swe przybłądy.

3.

W trawie, pod drzewy, śpi ten lud w bezładzie,
Od słońca i wichrów licho osłoniiony.
Gdziebądź z nich który przypaść, tam się kładzie,
Przybity ciężkich trudów swych brzemiony.
Pokotem leżą wodze i czeladzie,
A każdy w spaniu onem, bez obrony,
Niechybnej śmierci jest na łup oddany —
Lecz Orland nie chce użyć Durindany.

4.

Tak w nim rycerska enota znamienita,
Że bezbronno go zabić on nie zdoła!
Lecz tu i owdzie bystrym wzrokiem czyta
Śladów swej panny wśród onego sioła.
A gdy się który ocknął wołokita,
Zaraz mu o niej prawi, wierząc zgola:
Że go, jej postać opisując, skłoni,
By mu powiedział — czy co nie wie o niej.

5.

A gdy już zorza nocny mrok przestrzeli,
Zbiegł cały obóz aż po kresy zadnie.
A mógł naprawdę zrobić to tem śmieielej,
Gdy na swą zbroję strój arabski wkładnie.
Tem zaś bezpieczniej kryć się mógł, jeżeli
Obce języki różne znał dokładnie,
I po Afryce tak ciął w sposób gładki,
Jakby się zrodził z Tunetanki matki.

6.

Poszukiwaniem onem zatrudniony,
Trzy dni zmarnował w kniei tej czartowskiej.
Poczem się wstecz znów puścił w swoje strony,
Frapeuskie wszystkie grody strząść i wioski.
Wszereż Alwerniaki zwiędził i Gaskony,
Wszędy badając pilnie, pełen troski —
Wreszcie, Pikardyi nie mijając weale,
Wzdłuż, od Bretonów aż po Prowansale.

W dalszej drodze następcza mu się niejaka Olimpia,
skarżąc na krzywdy, jakie poniosła od Timoscha, króla
Fryzyskiego. Ten niegodziwiec nie tylko wszystkich naj-
bliższych jej sercu powyrzucił i narzeczonego jej, Birena,
księcia Zelandzkiego w więzieniu trzyma; ale i do rozpra-
wy, nie, jak rycerz, jawnie, z bronią, stawia, tylko, w za-
sady się czając, z wymyślonej przez siebie strzelby ko-
go zechce trupem kładzie. To wszystko skłania Orlanda
do ukarania nędznika.

60.

Więc, w stal zakuty, w złote brzmiać ostrogi,
Jedzie nasz rycerz. Pod nim koń cisawy,
I raczej rosły niżli wiatronogi —
Duńczyk, wypały flandryjskimi trawy.
Bryliador bowiem, gdy do morskiej drogi
Miał się pan jego, nie wszedł z nim do nawy —
Rumak tak zacny, że bez własnej szkody,
Bojard jedynie mógł z nim iść w zawody.

61.

W Dortrechcie widzi zbrojny tłum u brony,
A w strachu rolny gmin i lud pastuszy,
Raz: iż król, niezbyt jeszcze utrwalony,
Podejrzeń mnóstwo żywi w trwożnej duszy,
A też: iż w miejskie uderzono dzwony,
Gdyż wieść przybiegła, że się wprędce ruszy
Morzem i lądem księcia tego krewny,
Co stał się jeńcem, broniąc swej królowny.

62.

Nasz zbrojny rycerz rażno mknąć pod mury,
Ztamtąd wyzwanie krwawe śle do pana
Krainy owej. Lecz zastrzega zgóry,
Jaka ma skutku walki być wymiana:
— Jeśliby poległ — panna ta, dla której
Dał Arbant życie, będzie wnet wydana.
Gdyż on, w jej sprawie stając, w każdej porze
Na rzecz zwycięzcy z niej się wyzuc może.

63.

A zato, wzamian, niechże król pamięta:
Że gdy w spotkaniu będzie zwyciężony,
Owego księcia, co go schwytał w pęta,
Puści, by wolen był iść w swoje strony. —
Od króla była niby wręcz przyjęta,
Tych wypłat wspólność — niemniej, w chwili onej,
Ów zbój, któremu obca cześć jakowa,
W zasadzce podłej chytrą zdradę knowa.

64.

Już mu się panna w żaden kąt nie schroni,
Skoro mieć będzie w ręku jej Rycerza,
Jeśli istotnie ten zna drogę do niej,
Jak to swojemu wysłańcowi zwierza.
Więc wnet, trzydziestu drabów różnej broni
Co tchu wyprawia póki rzecz jest świeża —
By Orland, z tyłu wzięty zbrojnym kregiem,
Znalazł się zewsząd w obsaczeniu tęgiem.

65.

Zaś go tu bawi przyjaznemi słowy —
Aż mu więc tamci za plecami staną.
Wtem wnet, z trzydziestką drugich, w bój gotowy
Czoło mu bierze drogą niespodzianą.
Tak właśnie, strzegąc kniei przejęć gajowy
Obgania zwierza obławników ścianą —
Tak samo, garnąc połów, czerni rybacza
Na rzecznych toniach długą sieć zatacza.

66.

Król, by mu Orland mógł się wymknąć, z góry
Leczył to między niemożliwe cuda
A chcąc go z matni żywcem wziąć w pazury,
W mniemaniu płonem, iż mu się to uda,
Tej strzelby nawet nie wziął z sobą, z której
Różnemi czasy zgładził mnóstwo luda.
Gdyż mu się zdała zbytciem broń ta sroga.
Tam, kędy nie szło o sprzątnięcie wroga.

67.

Jak między ptastwem, które w potrzask wzięto,
Wytrawny ptasznik takim łba nie kręci,
Które dla drugich mają być przynętą —
Takież i Timosch miał przemądre chęci.
Lecz Orland nie był z tych, co, drogą krętą,
Jak ptak, w zasadzkę mogą zostać wzięci.
Więc że, w obławie onej patrząc drogi,
Rozmachem jednym zrobił wyłom stogi.

68.

A wtem, gdy zgraja jeła pierzchać trwożna.
Rumaka spiąwszy, z włócznią szedł pochyłą.
Biorąc na ostrze kogo tylko można
Z tych, których dosięgił swego pędu siłą
I takich, sześciu, niby w długość różna
Poszło — a, że się więcej nie mieściło,
Siódmego jeszcze skrobął tylko w krzyże
Lecz tak, że on się z tego nie wyliże.

69.

Tak samo właśnie psotny urwis kmiecy
Schwythane żaby bezlitośnie nęka,
Iż im na wylot, przez brzuch i przez plecy,
Patyka ostrze wpycha aż do sęka,
By na nim rzędem tkwili ci kalecy..
Wtem znagła rycerz, gdy go świerzbi ręka,
Ten oszczep wrogiem aż po wierzch nadziany
Cofnął — a zato dobył Durindany.

70.

A gdy raz groźnej szabli tej dobędzie,
Która go jeszcze nigdy nie zawiodła,
Jak kiedy z dębu zdmuchnął wiatr żołędzie,
Tu pada pieszy, tam ktoś leci z siodła.
Byle nią machnął — tu, czy tam — to wszędzie
Ziemie posoka hojnie broczy podła.
To widząc Timosch, wskroś się żalem wzruszy,
Że nie wziął z sobą swej ognistej kuszy.

71.

Więc, by mu broń tę spiesźnie przyniesiono,
Rozpacznem wyciem wzywa swe rycerze.
Lecz nikt nie słucha, bo tam każdy pono
O swej całości tylko myśli szczerze.
Wtedy król, społem z czernią tą spłoszoną,
Nie wiele myśląc, nogi za pas bierze,
I w stronę spieszy z mężstwem swem zziąjanem —
Cóż, gdy już Orland jest na moście panem!

72.

Więc, widząc Timosch, iż go już nie złowi,
Most i dwie brony rzucił mu w zdobycze.
I mknął, jak drudzy, co chcą zostać zdrowi.
A wiatr w swym koniu ma ten król zbrodniczy!
Wtem, gdy łup lichy zbrzydził już Orlandowi,
Ten, tylko zdrajcę mieć w swem ręku życzy —
Cóż, gdy koń pod nim bieży ociężały,
A Timoschow śmiga równie strzale.

73.

Wreszcie król w bok dał skok i zniknął — ano
Zaraz się na dół puszcza z końskiej grzywy,
Bo mu nareszcie strzelbę pożądaną,
Chykiem podchodząc, przyniósł ktoś życzliwy.
Więc się zakrada łebski król za ścianą,
Tak jak to w lesie czynić zwykł myśliwy,
Kiedy, z pomocą licznej kundlów zgrai,
W haszczach się gestych na odyńca czai,

74.

Który, z gałęzi trzaskiem, przez rozłogi
Pędzi naoslep kłapiąc w kły złowieszce.
Bór wtedy cały, zda się, pełen trwogi
Szumieć, roznosząc w dal rozgłośnie dreszcze! —
Tak, Timosch pewny, iż mu rycerz srogi
Nie ujdzie płazem, chwilę czeka jeszcze,
Aż, gdy, jak sądzi, zmierzył doskonale,
W mig lontem prochu dotknął przy zapale.

75.

Błysk! grom! od których, najteższego zucha
Ze strachu dusza zcierpłaby junacza!
Wstrzęsła się ziemia, dymu zawierucha
Zaćmiła niebo, kiedy tak z garlaczem
Śmierć zadający pocisk ten wybuchła,
Który nikomu nigdy nie przebacza!
Wyleciał, gwizdnął — alić cóż? o dziwy!
Toćże spuścił strzelec ów straszliwy!

76

A czy to krewkość zbytnia tak zdziałała,
Która, im lepiej chce, tem sprawi gorzej —
Czy w zawziętości swojej chęć zuchwała,
Która się zgnęła czynem własnym strwoży —
Czy też Niebiańska tak życzyła Chwała,
By się wojownik nie zmarnował Boży —
Dość, że, zrzędzeniem zgola niespodzianem,
Koń to Orlanda śmierć wziął pod swym panem.

77.

Padł. Lecz z pod niego wnet się wyszamocę
I w pęd się zrywa nasz on Kwiat Rycerzy.
Uczuwszy w członkach tak wezbrane moce,
Jak gdyby w sobie sam się rozrósł szerzej!
Libijski niegdyś Antej tak szerocę
Rósł w moc, gdy dotknął ziemi swej macierzy,
Jak w tym upadku, Orlandowe siły
Zgnęła w potęgę swej się podwoiły.

78.

Kto widział kiedy, jak z chmur groźnych spłynie
 Błysk z trzaskiem gromu, i tam, płonąc w lata,
 Kiedy saletę z siarką, dwie zdraczkynie,
 Wśród węgla góra w sobie ma garbata,
 Ten, byle utknął w onej mieszaninie,
 Rzekłbyś, pękają z hukiem krańce świata,
 Bowiem. najtęższych głazów moc straszliwa
 Aż gdzieś pod gwiazdy gwiżdżąc wylatywa,

79.

Niech wie, iż rycerz, jak te z chmur płomienie
 Buchnął — a nie ma z nim porównać kogo —
 Bowiem, postawa jego i spojrzenie
 Samego Marsa mogły przejąć trwoga! —
 To widząc, Timosch dmuchnął tak szalenie,
 Jak tylko nogi starezyć chcą i mogą —
 Lecz Orland za nim pomknął tak, jak strzała
 Nigdy z cięciwy szybciej nie wzlatała!

80.

Czego wprzód konno zdziałać nie był w stanie,
 Teraz, piechotą czyni tem zuchwalej!
 Ktoby podobne głosić chciał ściganie,
 Pewnieby ludzie wiary mu nie dali!
 Wreszcie go dosiagli i tak niestychanie
 Ciął, że od karku precz mu łeb odwali —
 Zaś kadłub ziemi ku przyjęciu dawa,
 I tak się owa zakończyła sprawa

89.

Tylko więc strzelby z rąk mu wziąć nie zwleka;
 Nie, iżby pragnął zażyć tego dziwa;
 Lecz, iż uważał wżgardy godnym człeka,
 Który podobnej zdrady w pomoc wzywa,
 I chciał, by odtąd zbliżka, czy z daleka,
 Nikomu już nie mogła być szkodliwa.
 Też proch i kule wziął przy onej broni,
 Słowem, co tylko należało do niej.

90.

I kiedy był już, prując przestwór siny,
 Tam, gdzie kotwicą dna nie sięgniesz z nawy.
 W rozwałę biorąc jej zbrodnicze czyny,
 I srom szerzące skutków tych objawy,
 Rzekł: — Iżby więcej nie był z twej przyczyny.
 Mian w równi z tchórzem Rycerz sercem prawy —
 Gdyż ufność w tobie z czei się stratą brata —
 Idź na zginienie aż po koniec świata!

91.

Ach! ty poczwaro! coś na uraganie
 Z męztwa, w świat zesła! Tworze ty przeklęty!
 Który, by ludzkość spodlić niestychanie,
 W czeluściach piekła musiał kuć Bezpięty.
 W te same, zkądś przyszedł, idź otchłanie! —
 To mówiąc w morskie rzucił ją odmęty.

PIEŚŃ X.

92.

...Więczę z Irlandyi (kiedy w dawnej porze
 Pustelnik święty żył, a z niu Anieli
 Tak się zbratali, że tam w Imię Boże
 Dotąd się każdy z wszelkich win wybieli),
 Na swym skrzydłaczku szedł przez wewnętrzne morze,
 W stronę, gdzie Anglia sterczy z wód kąpieli,
 I tam — o zgrozo! — ujrzał człek struchlały
 Pannę, do nagiej przytwardzoną skały!

93.

Do nagiej skały — tak jest — tym ostrowie,
 Co się zwał słusznie Wyspą Jeków — przeto,
 Iż siedzą na nim srodzy narodowie,
 Z wielką nieludzkich swoich żądz podnieta.

Ci — jak w poprzedniej mojej było mowie —
W rozliczne morza statki swe rozmieta,
Chwytając zewsząd niewiast kwiat dziewiczy,
Aby z nich pastwę potwór miał, jak życzy.

94.

Tam z wczesnej doby swe ważyła życie
U głazu jęcząc panna trwogą blada,
Ażby nadciągnął, szumiąc w wód błękiecie,
Dziwotwór straszny, który żywcem zjada.
Bom to już wprzód orzekł, wszak pomnicie,
Jak się odbyła jej porwania zdrada —
Gdy jej sen zadał on czarodziej stary,
Co ją w te miejsca ściągnął przez swe czary ¹⁾.

95.

Więc łup z niej zdziałał dla morskiego dziwa
Lud podły, który sam ze strachu kona!
A tak jest naga, panna urodziwa,
Jak niegdyś na świat wyszła z matki łona!
Ach! najtajniejszych wdzięków jej nie skrywa
Choćby najłżejsza z modrej mgły zasłona!
A są te wdzięki, jakby w Rajskiej łące
Z liliami róże nigdy nie więdnące.

96.

Mógł Rogier sądzić, że to jest dziewica,
Wręcz z alabastru wryta w posąg biały.
Którym zaprawdę sam się Mistrz zachwyca,
Gdy go tak wstawił w szarym wnękę skały;
Gdyby nie widział, jak się przez jej lica,
Niby srebrzyste perły, łyzy ściagały,
Wilgotąc piersi wzdęte od tęsknoty,
Podeczas gdy wicher targał włos jej złoty.

97.

I gdy w jej oczach utkwiał wzrok sokoli,
O Bradamancie, myśląc swej niebodze,

¹⁾ Pieśń VIII, 60—66.

Współczuciem tknięty uczuł, że go boli
Łzami i łkaniem serce wzdęte srodze.
Więc, by tej pannie ulżył smutnej doli,
Rzekł, dzierżąc w dłoni żrebeca swego wodze:
— O ty! coś godna raczej zostać wzięta
W więzy, któremi Bóg Miłości pęta,

98.

A zato cierpieć nie mająca prawa,
Powiedz — okrutnik jakiżto zuchwał,
Uciskiem oków, tak się naigrawa
Z tych Boskich wdzięków godnych wiecznej chwały? —
A na to, niby dnia brzask, panna łzawa
Spłoneęła wstydem, aż jej zróżowiały
Członeczki wszystkie, którym, zamiast jawy,
Wprost pożądanym byłby cień bladawy.

99.

I w rękach lica skryćby chciała hoże,
Lecz cóż? gdy niema jednej wolnej dłoni!
Więc choć schyliwszy głowę, ile może,
Falami włosów nagość swą przysłoni,
I pocznie z jękiem... lecz w tej samej porze
Umilkła drżąc, sądząc, że już po niej —
Bowiem szum straszny najniespodziewaniej
Powstał na groźnej morskich wód otchłani.

100.

I oto — wierzchem, czyniąc wrzenie z piany,
Spodem odmetów mącąc bardzo wiele,
Jak bywa okręt, gdy, wiehrami gnany,
By w przystań wpłynął, pruje fal topiele,
Potwór, po łup swój dążąc przez bałwany,
Zębami kłapie i ozorem miele...
To widząc, strachem wskroś zmartwiała dziewa,
Już się zbawienia znikąd nie spodziewa.

101.

Nie w tok wziął Rogier włócznię, lecz w dwie ręce,
I tę poczwargę dźgnął ze wszystkiej siły.

Ta zaś, tak była niby — niech kark skręce —
 Jakby się w kupe przesła gór zwały —
 Mając jedynie w cielsku tem bydzące
 Ślepie, i z kłami świński kark pochyli.
 Rogier ją kolnął między oczy — ale
 Grot precz odprysnął, jakby utknął w skale!

102.

Złożył się Rycerz baczniej, i nanowo
 Cios dał, bo czasu zbyt go dręczy strata.
 Wtem potwór, widząc, że mu ponad głowę
 Cień skrzydeł w wiatrach tu i owdzie lata,
 Porzuca pewną pastwę swą lądową,
 Tam pędząc, kędy postać mknąć skrzydlata —
 Rogier zaś skacze, zakreślając kręgi,
 I raz po raz cios wymierza tęgi.

103.

Jak kiedy orzeł najrzy zagnała z chmury,
 Że gdzieś pod skałą śpi na słońcu żmija,
 Lub swych pierścieni liże zwój ponury,
 Albo się chyłkiem w cieniu traw przewija —
 Nie od tej strony wrazi w nią pazury,
 Zkąd śmierć od jadu wziąć ma istotność czyja,
 Lecz ją od grzbietu rwie, i macha skrzydły,
 By go nie dosięgł żądłem gad obrzydły;

104.

Tak sprawnie Rogier, włóczęgą swą, z uboczy,
 Nie tam, gdzie z paszczy dwa kły sterczą bliźnie,
 Ale się stara kłuc poczware w oczy,
 I po wszelakiej gdzieby mógł słaźnić.
 Gdy zwierz się zwróci, wnet on wczas odskoczy,
 I wprędce wroga znów znienacka liźnie.
 Cóż gdy, choć żadna z jego ran nie chybia,
 Nie o to nie dba ta ohyda rybia!

105.

Kiedy w sierpniowe, przykre psom, gorąca,
 Kundlowi mucha wyda bój zuchwała,
 Lub, gdy jest chęć jej, nawet wśród miesiąca
 Co w grona wzbiera lub kłosa pała —

W uszy mu włazi, w nos i w mordę trąca —
 On do niej — ona precz już odleciała —
 On ją, zębami kłapiąc, oślep goni —
 Lecz byle tylko dosięgł ją — już po niej;

106.

Tak potwór w odmet wód ogonem grmoce,
 Że aż wparł deszcze w powietrzokrag cały!
 Więc w końcu, Rogier widząc, jak szeroco
 W obłokach nawet mżą nań morskie wały,
 Chciałby co prędzej mieć się ku opoce —
 Gdyż gdyby dłużej bryzgi te potwały,
 Mogły zrebceci wnet zwilgotnieć skrzydła —
 A tak on w zgubę wraz się z nim usidla.

107.

Rzekł tedy sobie: — Broń zaczepną zmienię,
 A z nią i walki tryb zmieniwszy cały,
 Z cudownej tarczy puszcę nań promienie,
 By go potęgą blasków oślepiąły. —
 Lecz wprzód, chcąc pannie przynieść ocalenie,
 Bieży, gdzie ona stoi drząc u skały,
 I na paluszku pierścień jej osadza,
 W którym jest czary niweczająca władza.

108.

Ten to był, który Rogier swej zbawczyni
 Zawdzięczał, gdy go wzięta z rąk Brunela¹⁾.
 Nim też, z Alcyny szpon, gdy gościł przy niej,
 Melissa zaena wziąć się go ośmiela²⁾.
 Nim ona różne wpływy złe odczyni
 Tak, że, jak rzekłem, z cnót zastąpił wiela.
 Aż gdy znów Rogier wziął w nim dank miłości,
 Na jego palcu wiecznie on już gości.

109.

Więc w chwili owej dał go Angelice,
 By, gdy z puklerza skrawy blask wyleci,

¹⁾ Pieśń IV, 14.

²⁾ Pieśń VII, 68.

Nie chciały czasem olsnąć te źrenice,
Których wdzięk już go porwał był w swe sieci. —
Tymczasem potwór, niemal już na nice,
Swem cielskiem wzburzył świat wśród wód zamiecił
Wtem Rogier z tarczy zdał pokrowca końce —
I zagną, zda się, błysło drugie słońce. —

110.

I wraz, poczwarze, niby grom od młota,
Wprost w ślepie wstrzęgła światłość ta rażąca!
Jak gdy się nieraz pstrąg w potoku miota,
Którego prądy góral wapnem zmaca —
Tak brzuchem w górę podła ta istota
Na wznak runęła, dysząc od gorąca.
Rycerz raz po raz kłuje dziwolągą —
Lecz ten się z ciosów, jak i wprzód, urąga.

111.

Tymczasem panna błaga go w rozpacz:
— O! wprzód łańcuchy ze mnie zdejm, przez Boga!
Moc wszelka, broń tu wszelka, nie nie znaczy!
(Mówiła, płacząc, gdyż ją trzęsła trwoga)
Weź mię, i w morzu śmierć mi sam daj raczej,
Niżby mię miała tknąć ta ryba sroga! —
Więc Rogier, nie chcąc, by zginęła marnie,
Kruszy jej pęta i ku sobie garnie.

112

Koń, kolecem tknięty, ziemi dał kopyta,
I wnet go lotność w modry szlak powiodła.
Grzbiet mu ozdabia para znamienita —
Rycerz, i piękna panna z tyłu siodła!
A tu, słodkiego kaska łaknąc, zgrzyta
Ohyda, wielce w swem plugastwie podła!
Tymczasem Rogier w sposób nieustanny
Całuje wdzięki swej uroczej panny.

113.

Więc dawnej drogi chętnie on pozbędzie,
Gdyż go Hiszpania wabić już nie może.
Oto gościnne bliższych skał krawędzie,
Kędy Bretannia mniejsza wkracza w morze.

Z brzegu cienisty gaj, po którym wszędzie
Słowiki kwilą, patrząc w jasną zorzę.
Tuż, wśród pagórków, szklisty zdrój na łące,
Po kwiatach w spadki srebrzył się szemrzące.

114.

Tu, cheiwy szczęścia Rycerz, nie chcąc dłużej
Latać, zamierza błogo spocząć w chłodzie —
I, gardząc skrzydeł służbą, sam już służy
Niegodnej żądzy, co mu zmysły bodzie —
On, z niebios lecąc, w ziemskiej rad kałuży
Lgnąć!... — lecz mu zbroja stawa na przeszkodzie,
I z przeszkodami na to się sprzymierza,
By ocaliła dobrą cześć Rycerza.

115.

Trwa czas nie mały jego rozbieranie —
Tak to się na nim broni zbroja rdzawa!
Klnie sprzączkom, targa, śpieszy niestychanie —
Tu rwie, tam jeszcze tyle rwać zostawa...
Lecz oto może dość już, piękne panie —
Gdyż tak się długo ta przeciąga sprawa,
Że mi pozwólcie chwilę wytechnąć, bowiem
Ciąg dalszy w innej pieśni już dopowiem. —

PIEŚŃ XI.

1.

Jakkolwiek, nawet byle zbyć wędzidło
Rozhukanego źrebca łatwo skarci —
To gdzież hamulec, coby choć obrzydła
Poskromił w takich, których kuszą czarci?
Tak niedźwiedz gruby, leśnych puszcz straszidło,
Spróbuj, by nadal precz się miał od barci,
Gdy raz mu w nosie miodu woń zakręci —
Lub gdy go kiedy liznął z dobrej chęci?

2.

Więc i Rogiera jakież wściagną pęta,
By chciał wypuścić to, co wziął w swe ręce?

Cóż? W eichym gaju kusi go ponęta
 Być wdzięcznie miłym wdzięcznej tej panience...
 O Bradamancie ledwie już pamiętał
 — Jej — rzekł — jak wprzód życie moje święcę —
 Lecz, mimo wszystkie ku jej czci usługi.
 Wstydyby mię było nie chcieć mieć tej drugiej.

3.

Wobec niej bowiem przystaby odwaga
 Tych Mędrców nawet, co się niewiast boją! —
 W Rogierze tedy nawał żądz się wzmaga...
 Już się i z bronią rozstał i ze zbroją...
 Gdy wtem — na swoje szczęście — panna naga,
 Wstydnym zbiegając wzrokiem postać swoją,
 Tuż na paluszkę pierścień on obaczy,
 Który jej niegdys Brunel skradł junaczy.

4.

Nim to we Francyi była obdarzoną,
 Gdy z bratem w podróż ową iść się skłoni,
 Kędy ten zdobył sławne drzewce ono,
 Które znów Astolf dzierzył w dzielnej dłoni —
 Nim się Merlina czary w nie rozwioną
 U Malagiga, gdzie strach został po niej —
 Nim też Orlanda i jego Rycerze
 Z szpon Dragantyny wstępnym bojem bierze¹⁾.

5.

On jej w ucieczce z wieży tej też służy,
 Gdzie ją więziła doli złej odmiana.
 Lecz o tem wszystkim pocóż prawić dłużej?
 Rzecz ta tak dobrze mnie, jak wam, jest znana.
 Wreszcie, gdy Brunel skradł go jej w podróż
 Dla Libijskiego Króla, swego pana.
 Markotna, błędnie w stronę szła odległą —
 Aż i królestwo własne ją odbiegło!

6.

Ten więc, ta dziewczka Rogierowi miła
 Przy sobie widząc, nie wie sama: czyli

¹⁾ Sprawy te wszystkie opisane są w Bojardzie.

Sen to, czy jawy dobroczynna siła?
 Więc też ukradkiem twarz ku niemu schyli —
 Aż, z palca zdjawszy, w usta go włożyła —
 Włożyła w usta — i wnet, w jednej chwili
 Nie ujrzą panny oczy już niczyje,
 Jak bywa z dzionkiem, gdy się chmurach skryje!

7.

Rogier zdumiony szukał w leśnej ciemni,
 Lecz gdzie się zwrócił, chytał marne cienie!
 — Ten pierścień wszelki ślad jej udaremni —
 Tak rzekł — i, ręce łamiąc, jął szalenie
 Kłać nieprzezorny rozum swój, a niemniej
 Złorzeczyć pannie za to postąpienie,
 Ktorem niewdzięcznie i nieprzyzwoicie
 Spłaciła wzięte z jego ręki życie.

8.

— Dziewico sroga! — tak on prawił — poco
 Uciekasz przed tym, co ci był swój święci?
 Więc wolisz wziąć mi pierścień mój przemocą,
 Niż go odemnie przyjąć z dobrej chęci?
 Czyż ja i owi, co w twe wrogi grzmocą:
 Broń moja, koń mój — będziem odepchnięci?
 Miej nas! — niech tylko twarz się twa nie chowa.
 Toż gdy mię słyszysz — nie szczędź choćby słowa! —

9.

Więc tu i owdzie macał, zbywszy głowy,
 Jako zwykły czynić ślepy wołokita.
 Ileż to razy łapał wiatr stepowy,
 Mniemając błędnie, że swą pannę chytał! —
 Ta zaś, tymczasem, zbiegłszy w gór parowy,
 Szła, aż wstrzymała krok jej w gąszczach skryta
 Pieczara mroczna — tej gościnne ściany
 Nawet jej pokarm dały poządany.

10.

W tych miejscach zmyślny jeden pasterz stary
 Siedzibę z rojem licznych stad posiada.

Traw żyznych wszędzie w pas — więc z owej miary,
 Jak w stepie, tabun buja tam nielada!
 A tu i owdzie stoją też koszary.
 Gdzie nocny pobyt mają matki stada.
 Tam Angielika kładąc kres podróży,
 Chce niewidzialną zostać jak najdłużej.

11.

Wtem znacznie schłodło. Więc, pozbywszy pychy,
 W strój pierwszy lepszy tuli nagie ciało.
 A był to — powiem — przyodziewek lichey,
 Jakiego takiej nosić nie przystało.
 Dla której, świetne dworskich szat przepychy
 I zbytek wszelki, rzeczą był zbyt małą.
 Bądź co bądź, nawet w tej siermiędze dzikiej,
 Królewskość dnieje z pięknej Angieliki.

12.

Tak. Wszelki chwalcie! czy ty wdzięk wieśniaczy,
 Czy nieśmiertelnej głosisz cześć Bogini —
 Twój zachwyt niech mi słowo to przebaczy:
 Że każda z waszych pań, jest nieczem przy niej!... —
 Zaczem, zrobiwszy przegląd dzielnych kłaczy,
 Z najehybszej w biegu własność swą uczyni.
 Powzięła bowiem zamiar niecofniomy,
 Mknąć na jej grzbiecie w swe Wschodowe strony.

13.

Tymczasem Rogier, gdy go ból uciska,
 Że głuchą tylko widzi wkrąg pustynię,
 Bacząc, że równie zdala, jak i zbliżka
 Okrutnej panny wszelki ślad już ginie,
 Szedł, by skrzydlacza swego, wśród pastwiska
 Gdzie go zostawił, dosiąść — lecz jedynie
 Kawałek uzdy zastał tam, od której
 Ten koń się urwał, aby wionąć w chmury!

14.

Serdeczne tedy troski go ogarną,
 Gdy się przekonał, że przez miłość dla tej,
 Co mu płaciła niewdzięcznością czarną,
 Nie dbał, że koń go odbiedz mógł skrzydlaty.

Lecz zwłaszcza, w łowach za tą wietrzną sarną.
 Największą boleść miał z pierścienia straty:
 Nie tak dla jego czarodziejskiej siły —
 Ile że darem był od jego*miłej.

15.

Więc chmurny, zbroję wdział, i oto kroczy,
 Na ramię sobie wdziawszy łęk puklerza.
 Od morza w łady wiódł go stok przezroczy
 Doliny smugiem, gdzie się łąka świeża
 W dąbrowie gubi — aż mu wpadła w oczy
 Gęstwina leśna — tą zaś, gdy on zmierza,
 W czaharach ciemnych w prawo z onej drogi,
 Usłyszał broni szczepek niezmiernie srogi.

16.

Usłyszał srogi szczepek i łomot gruby —
 Snadź tam nie żartem ciosy w ciosy grzmocą!
 Patrzy — a oto dwaj się wzięli w czuby,
 Z równie zawziętą z obu stron przemocą.
 Zda się, rad każdy, do śmiertelnej zguby
 Pchnąć przeciwnika — nie wiadomo o co.
 Jeden ma wygląd strasznych sił olbrzyma —
 Drugi młodzieńczyk, lecz się dzielnie trzyma.

17.

Ten, tarczą grając, uskakuje w strony,
 A dżga i rąbie oraz jak się uda,
 By snadź w łeb nie wzięł pałki tej brzemiony.
 Która aż świszezy w dłoniach wielkoluda.
 Tuż obok leży rumak z nóg zwalony.
 Rogier ciekawie patrzy w one cuda,
 Patrzy, i w duszy myśli ma skłoniłone
 Trzymać mniejszego bojownika stronę.

18.

Nie, iżby życzył być mu ku obronie,
 Tylko tak sobie stanął tuż i patrzy.
 Aż wtem, on olbrzym, w młodzieńczyka skronie
 Dał swą maczugą cios jak najsekszyszy —
 Ten padł — a tamten dziką żądzą splonie
 I wroga wagą lędźwi swych przysiadłszy,

Przyłbicę zdarł mu z twarzy — a w tej chwili
Rogier skamieniał!... — czyż go wzrok nie myli?

19.

Nie. On istotnie ujrzał w zdartej zbroi
Twarz Bradamanty, swej najdroższej pani!
Ona to była w całej krasie swojej
Tą, którą olbrzym niemal na śmierć rani!
Więc skoczył obces — już gotów stoi
Jej wroga zmiażdżyć, lub zgon ponieść dla niej —
Lecz tamten, dzielny czyn ten płacąc wzdarda,
Półmartwą pannę chwytą w dłoń swą twardą.

20.

I wraz przez ramię sobie ją przewali.
Jak wilk, gdy jagnię porwie od macierzy.
Lub orzeł rwący wśród powietrznej fali
Ptaka, z którego leci obłok pierzy.
Tu, gromki Rycerz już nie czeka dalej.
Lecz pędzi za nim — ale tamten bieży
Tak szybkim krokiem dzięki swej postaci.
Że go już Rogier niemal z oczu traci.

21.

Tak, chcąc swą pannę dobyć z onej nędzy
Biegł, a zaś tamten śmigał przez parowy —
Aż im się obu rozwarł szlak z pomiędzy
Drzew coraz rzadszych. — Lecz już dość tej mowy.
Do spraw Orlanda wróćmy znów coprędzej.
Który, jak wiemy, grzmotnik Timoschowy
Wrzucił był w morze, aby go już zasię
Nie znalazł nigdzie nikt, ni w żadnym czasie ¹⁾.

22.

Lecz nie z tej straty. Bo któż tego nie wie,
Że czart, wszelakiej wynalazca zbrodni,
Gdy mu wzór dało grzmiące chmur żarzewie,
Tę broń przeklętą, by miał zyski od niej.

¹⁾ O tem w pieśni IX. 90—91.

Jak niegdyś w jabłku śmierć dał zrodzić Ewie,
Któremuś służył swemu najniegodniej
Pozwolił dobyć w zbrojnej w-klęski porze,
Za naszych dziadów, czy też dawniej może.

23.

Tak, złemu, które w zapomnieniu miało
Zniszczyć, nie dano spełnić tej pokuty!
Wprost między Niemce poszedł naprzód śmiało
Ten sprośny pomysł z wszelkiej czci wzytu.
Pożytek jego, z wielką swoją chwałą,
Czart wszechwiedzący szeptał im dopóty,
Aż wreszcie, w licznych próbach, ci zuchwali
Użycia jego sposób odszukali.

24.

Z Włoch, z Francyi wiedza bratobójcza owa
W świat poszła, dziś już znana wszem i wszędzie!
Tu w piecach dyszy ognia z kruszcem znowa,
Aż z niej wylana śmierć się wydobędzie.
Tu świder wierci, indziej młot znów kowa,
By odpowiednie zdziałać mógł narzędzie.
Temu grom ręczny zrobić się udało,
Tamtemu cięższe lub mniej ciężkie działo.

25.

Ich nazw, ich liczby w pamięć już nie schwyce —
Mniejsza, czy pierwsza która, czy dziesiąta!
Oto i moździerz! ten, gdy grzmi, na nice
Najgrubsze grody z drogi swej uprzęta!
Hej, wojownik! wszak ty znasz rusznicę?
No, więc twą szablę dzielną rzuć do kąta.
I bierz na ramię muszkiet długorury —
Inaczey pójdziesz między lichy ciury.

26.

Podobnaż, aby dla takiego żniwa,
Nasienie krwawe w człeka sercu wzrosło?
Powaga zwycięstw poszła precz grzmotliwa!
Szlachetnej broni poszło precz rzemiosło!

Gdy więc złe lepszem od dobrego bywa,
I zdrada górę ma nad enotą wzniosłą.
Tedy, w otwartym polu, z czeią i z chwałą
Na ostre gonić na nie się nie zdało.

27.

Ach, bohaterów iluż z męstwem wściekłem.
Dziś ginie, godnych słysząc w potomności!
Kiedyż się skończy to przymierze z piekłem,
Którego plonów nikt nie pozazdrościł?
Więc, zgódź się każdy ze mną, kiedy rzekłem:
Że ponad wszystkie tego świata złości.
Nikt w przekleństwach spójni nie szedł nigdy ściślej.
Jak pomysł w parze z tym, co go miał w myśli.

PIEŚŃ XII.

TREŚĆ.

Orland, Rycerza pilnie goniąc, który
Kochanie jego porwał mu — przybywa
W zaklęty Dworzec, a zaś wprzód w te mury
Wpadł Rogier śladem olbrzymiego Dziwa —
Tam się o jego szyszak barwnopióry
Z Ferrautem stacza bójka nader żywa —
Poczem pohańce zbiwszy z wielką sławą.
W pieczarze znalazł Izabellę łzawą.

1.

Ceres, od matki Rhei śpiesząc w trwodze,
Gdy w ten ustronny czahar znów przypada,
Kędy rycząca Etna bardzo srodze
Gniecie zgromiony kadłub Encelada:
— Córy mej — rzekła — nigdzie nie znachodzę!
Cóż się to znaczy? — więc od bólu blada,
Piersi i włosy w doli tej żalosnej
Skrzywdziwszy — w końcu dwie wyrwała sosny,

2.

I te, gdy Wulkan tak w nie dech swój wwonie,
Że zgaszonemi nikt ich już nie zoczy,
Po jednej w obie uchwyćwszy dłonie,
W rydwanie, który ciągnął zaprząg smoczy,
Wzdłuż i wszecz zbiegła wszelkie ziemskie błonie,
W wód głębi nawet zatapiając oczy —
Aż gdy już bacznie cały świat przetrzęsła,
W Tartaru wreszcie wpadła ciemne przesła.

3.

Gdyby był Orland mógł co chciał w tej porze,
I moc Bogini wsparła jego żądę,
Swej miłej panny goniąc wdzięki hoże,
Kąt każdy również byłby strząśł — tak sądzę.
Owszem, i ziemię zbiegłby był i morze,
I Niebo — wreszcie piekiel zmógł wrzeczadzę.
Lecz iż ni smoków nie ma, ni rydwana,
Na koniu jedzie, jak jest rzecz mu dana.

4.

Zbiegł dla niej Francję całą. Teraz ruszy
Do Włoch, do Niemiec. Poczem, zgoni za nią
Kastylię obie. Nawet w pustyni suszy
Szukać jej będzie, morską mknąc otchłania...
To gdy on myśli — zagnała w jego uszy
Jęk wpadł, którego dźwięki pierś mu zrania —
Zwłaszcza gdy widzi, jak od wzgórz krawędzi
Na dzielnym koniu junak jakiś pędzi,

5.

A z nim na siodle, jak to bywa zgoła
W porwaniu srogiem, panna zasmucona
Rozpacznie walczy, płacze, i dokoła
W okrutnej trwodze patrząc, z głębi łona
Aglantu Księcia ku pomocywoła!
Ją, gdy on widzi, duch w nim z bólu kona —
Bo w niej tę właśnie poznać mu się zdało,
Dla której próżno przetrzął Francję całą.

6.

Nie wiem, czy ujrzał tę, co z wdzięków słynie,
Które mu serce skuły żądz ogniw —
Dość, że w niej panią swą i swą boginię
Widząc, i razem jak jest nieszczęśliwa,
I o jej całość dbając już jedynie,
Ogromnym głosem jeźdźca w bój wyzywa.
Wyzywa gromko, by mu wyszedł w pole —
I Bryliadora do krwi w boki kole.

7.

Ów zaś tem skoczniej ku ucieczce rwie się,
Łup swój chełwem garnąc w pierś ramiony.
I tak mknie szybko, co temu chcą być w lesie,
Że, niż z nim, snadniej z wiatrem iść w przegony.
Ten gna — ten zmyka — a wiatr, szumiąc, niesie
Dźwięk skarg żałosnych panny unoszonej —
Aż w łakę wbiegli z onych leśnych wnętrzy,
A tam się dworzec okazały piętrzy.

8.

Z marmurów rzadkich dziwna rąk robota,
I rzeźby cuda gmach ten urabiały.
W jego to bramę, skrzacą się od złota,
Z panną w objęciu jeźdźcie wbiegli zuchwały —
Tuż i Bryliador wpadł w błyszczące wrota,
Na grzbiecie niosąc władcy swego szaty —
Lecz tu, gdy Orland gna ich najzajadłej,
Junak i panna jakby w ziemię wpadli!

9.

Zsiadł więc, i w gniewie jął wyteżać oczy,
Wytwornych komnat przebiegając wnętrze.
Tu i tam pilnie bez wytchnienia kroczy,
Poszukiwania czyniąc najzawziętsze.
Najskrytsze nawet kąty gdzieś w uboczu
Zwiedziwszy, wreszcie szukał i na piętrze —
Lecz i tu, wszędzie błyski śląc sokole,
Tyleż na górze zyskał, co i w dole.

10.

Gdzie spojrzę, wszędzie makat złotogłowie,
By nagiej ściany nikt nie widział zgoła.
Nawet gdzie nogą stąpi — któż wypowie,
Jaka z bobierców skrzy tam chuć wesola!
Orland, olśniony błądzi w tej budowie,
Lecz mu rozechmurzyć wzroku nie nie zdoła —
Bo nigdzie ani Angieliki, ani
Zbója, co porwał wdzięki jego pani.

11.

I gdy tak biega, dysząc z żądzz dzikiej,
Patrzy — a oto, również wichrowato,
Brandymart, Ferraut, Gradass król Seryki.
Sakrypant, i tłum innych, z czasu stratą.
Również zbiegając owych miejsc tajniki
Próżno też patrzą w każdy kąt — i zato
Klną w niebogłosy niegodziwca, który
Sam niewidzialny, zważył ich w te mury.

12.

Każdy tam szuka czegoś, i nikogo
Nie widząc, śmierci życzy złodziejowi.
Temu on konia — temu pannę drogą
Porwał — a drugim coś innego złowi
A wszyscy w trwodze — bo, choć chcą, nie mogą
W świat wrócić z klatki tej chudzieley owi —
A są i tacy, którzy za tą miedzą
Tygodnie, nawet i miesiące siedzą!

13.

Orland, kilkakroć próżno matnię ona
Zbiegłszy, jak śmiga łódź na błędnej fali,
Rzekł sobie wreszcie: — Człek tu traci pono
Czas, i daremnie trudem żądz się pali.
A tu, tymczasem, inną może stronę
Pierzchł ów porywca, i gdzieś zmyka dalej. —
Więc w łaki onej wrócił znów odmyty,
Którą ten zamek zewsząd był objęty,

14.

Tam, dziwotworny dworzec ów dokoła
Obchodząc, pilnie w dół wyteża oczy,
Bo chciałby dostrzedz: czyli gdzie nie zdoła
Trop jaki znaleźć, wprost, czy też w uboczy.
Wtem. nań gdy nagle, z okna ktoś zawoła,
Tak mu się zdało, że ów głos uroczy
Z tej ust wychodzi i z tej dźwięczy łona,
Która tak srogo z nim jest rozłączona.

15.

Iście to słowa Angieliki były
Jęczące: — Ratu! Moc mnie gnębi wraża!
Gorzej niż duszy ból i strach mogiły,
Myśl o dziewictwa stracie mnie przeraża!
Czyż wobec ciebie, mój Orlandzie miły!
Mam nie uniknąć niecnym rąk zbrodniarza?
Ach! Śmierć z twojej ręki raczej ponieść wolę,
Niż cierpieć dłużej tak nieszczęsną dołę!—

16.

To słysząc, znowu wbiega niemieszkanie
W onego gmachu czarodziejskie dziwa.
I choć go krewkie dręczy rozniewanie,
Niemniej nadzieja zmysł mu rzeźwi żywa.
Co chwila wstrzyma się i gdzieś przystanie
I pani swojej głosu nasłuchiwa,
A ten go ciągle kusi swą oskomą —
Zkąd zaś on dźwięczy, nie jest mu wiadomo.

17.

Lecz tu w Rogiera ślad znów nam się uda
Pójść, który, w gesty wpadłszy bór, jak wiemy,
Pannę i razem goniąc Wielkołuda,
Znagła na łakę wbiegł z podziwu niemy,
I zaś, rzecz pewna, że przez Piekieł cuda,
W też co i Orland błędne gnał teremy,
Skoro po przedzie Olbrzym ów niecnota,
A za nim Rogier w jednę wpadli wrota.

18.

Tu, gdy zsiadł z konia, już go nie nie wstrzyma!
W podwórzu, w izbach, szuka najzawzięciej —
Lecz cóż? — ni Panny nigdzie, ni Olbrzyma!
W dół, w górę, stokroć wraca się i kręci.
Bystremi patrząc w każdy kąt oczyma —
I gdy mu korzyść nie opłaca chęci,
Nie może pojąć: kędy się podziewa
On zbój i owa, którą porwał, dziewa.

19.

Gdy już po piętrach, tu i tam, dokładnie
Komnaty wszystkie w serca zbiegł goryczy,
Wraca, by jeszcze w pośród sklepień, na dnie
Podziemi, próżno szukał — wreszcie życzy
W bór wrócić — wtem go w drodze jęk dopadnie
Taki sam, jaki, w sposób czarowniczy,
Orlanda wprzód zwiódł — a teraz wzywa.
Jego, by znowu wszedł w zamkowe dziwa.

20.

Tenże był, co go Orland w ciężkiej biedzie
Być sądził głosem Angieliki hożej —
Tu on Rogiera w pokuszenie wiedzie,
Gdy go znów jękiem Bradamanty trwoży —
Takiż Gradassa zwodzi, i gawiedzie
Tych wszystkich, którzy błądzą w tej bezdroży —
Słowem, każdego tej nieszczęściem wzruszy.
Którą z nich który nosił w głębi duszy.

21.

Bruździ tu zaklęć moc i ta potęga,
Którą z Careny Guślarz technął zuchwały.
On dróg Rogiera na to wszędy sięga,
By mu nastroczał słodki trud bez chwały.
Ażby precz poszły gwiazdy z widnokręga.
Co mu przedwczesną śmiercią zagrażały —
Gdy zaś Alcynie, oraz kutym w stali
Murom się wymknął¹⁾ — on go ściga dalej.

¹⁾ IV, 7.

22.

I nie dość na tem, lecz i wszystkim, którzy
Po Francyi z meztwa słyną — by z ich dłoni
Nie poległ Rogier wśród przygodnej burzy —
Atlant przezornie wyjścia z zamku broni.
By zaś swą drogą, gdy im czas się dłuży,
Mieli do syta wygod jeńce oni,
Tak o wszelakiej myślał ich potrzebie,
Że więc tam wszyscy byli jak u siebie;

23.

Lecz Angieliki baczmy — bo jest przy niej
Ów pierścień, zbrojny w tak cudowne dziwa:
Że, w usta wzięty, oko ślepem czyni —
A zaś, na palcu, czary zażegnnywa.
Ta więc, nietylko odzież, lecz w jaskini
Konia znalazłszy, dalszych dróg tęskliwa,
Tuszy, że na nim wprędce w Indyi stanie,
Kędy powabne swoje ma władanie.

24.

Orlanda z sobą mieć lub Czerkas pana
Chce, lecz nie na to owa Panna dzika,
By ją w tem wiodła z którymbyś wymiana
Serc, bo się równo obu im wymyka;
Ale że w stronę swą wschodową gnana,
Gdy jej w tę podróż trzeba przewodnika,
Wziąć z nich którego zda się jej najprościej —
Bo nie ma w nikim tej, co w nich, ufnosci.

25.

Ci, chociaż przez nią pilnie są szukani,
Nie było łatwo znaleźć ich tej niewieście!
Straciła ślad ich w błoniach, w puszczy otchłani,
Próżno też w siołach szuka, próżno w mieście —
A tu traf zdarza, że wręcz, jakby dla niej:
Orland i Ferraut, Sakrypant i wreszcie
Gradas i Rogier, oraz innych wiele,
Pokutę cierpią w tem guślarskiem dziele.

26.

W on dwór gdy weszła, nawet Atlantowi
Nie widna, skoro pierścień w usta włoży —
Jest świadkiem właśnie, jak się wśród pustkowi
Ci dwaj błakają, niby gdzieś w bezdroży —
Gdyż przez Atlanta, są Rycerze owi
W błąd pchnięci marą jej postaci hożej —
Więc ich na oku mając, w myślach waży,
Którego z dwóch tych wziąć ma ku swej straży.

27.

Kto z nich jej Zbawcy wart się szczyścić mianem:
Sakrypant świetny król, czy Orland chyży?
W niebezpieczeństwach, meztwem niesłychanem,
Orland, stalowej równy jest paizy.
Lecz on wnet z druha stać się gotów panem —
A wtedy któż go znów do stóp jej znizy?
I gdy już kres mieć będzie jego praca,
Jak mu powiedzieć: — niech do Francyi wraca?

28.

Zaś Czyrkaszczyka, jako chce, obdarzy
Niebem, ilekroć raczy mu być miła.
Więc wybór czyniąc, że ją w toni wrażej
Teżej, bo wierniej, wesprze jego siła,
Odjęła pierścień z ust i rąbek z twarzy,
By ją on jeden ujrzał — gdyż sądziła
Być z nim sam na sam — lecz wtem najzajadlej
Orland z Ferrautem ku niej tuż przypadli.

29.

Tak jest — z Orlandem Ferraut w szybkim pędzie.
Gdyż, razem oba w mrok zakłęci szary,
Omackiem właśnie tej szukali wszędzie,
W której miał każdy Bóstwo własnej wiary.
Przypadli do niej — bo już im nie będzie
On złośnik szkodzić przez swe psotne czary —
Skoro w jej dłoni pierścień błyskotliwy,
Wszelkie Atlanta udaremniał wpływy.

30.

Na sobie zbroje mieli niepowszednie
Ci dwaj, o których głoszę pieśń. Rycerze.
Odkąd tu weszli, owszem, w noc, jak we dnie,
Każdy się pilnie zdjąć je z siebie strzeże.
Gdyż w gotowości na walk zapowiednię
Zwyczajne szaty mieli w marnej mierze.
Ferraut był również cały w stal zakuty —
Tylko że helmu nie chciał wdziać dopóty.

31.

Ażby ten zdobył, co go, Wódz nad Wodze
Orland, w potyczce wziął był Almontowi.
Bo tak poprzysiągł, gdy się zmartwił srodze,
Że swój napróżno w bystrej strudze łowi¹⁾.
I choć mu nieraz Orland stanął drodze,
Niemniej z tych spotkań oba wyszli zdrowi —
Gdyż się w tym Dworcu zwadcy ci zuchwali,
Wzajem nie widząc, wzajem omijali.

32.

Tak tam ich zewsząd strzegła zdrada podła,
By się nie mogli w sposób znaleźć jakowy!
Ku sobie jednak wciąż ich żądza wiodła.
I zbrojni byli od stóp aż do głowy —
I nawet konie ich przybrane w siodła.
W strzemiona dźwięcząc, oraz brzmiąc w podkowy,
Na stajni stały — kędy im obficie
Owsem i sianem osładzano życie.

33.

Więc tu już Atlant nie może na to:
Że z tych tu każdy na rumaka skoczy,
Chcąc gonić skryte wiotką rąbką szatą
Twarz wdzięczną, płowy włos i czarne oczy
Tej, co przed niemi pierzcha wichrowato.
By jej ci zwadcy, w żądzy swej ochoczej,

¹⁾ I. 24—30.

Towarzyszami być nie chcieli oba —
Choć się zosobna każdy jej podoba.

34.

I kiedy widzi, że już ją obroni
Od ich pościgu klacz jej, wierne zwierzę —
A znów, że tyle w dal już gońce oni
Odbiegli, iż ich Guślarz nie ustrzeże —
Ów pierścień gracki, co w niejednej toni
Był jej zbawieniem, wzięła w usta świeże —
I tak im z oczu zdmuchnie postać swoją,
Że ci w zdumieniu, jak dudkowie, stoją.

35.

I co ją wprzód płochoy zamiar nęci:
By dla niej Orland, lub nałożył głowę
Sakrypant, jeden z dwóch, co, przez nią pchnięci,
W kraj Galafrona wieść ją mieli zdrową —
Obecnie obu w równej ma niechęci:
Że nuż miłością słabość jej nazową?
I w oka mgnieniu, zmienna niesłychanie,
W pierścieniu swoim tylko ma ufanie.

36.

Onym zaś knieja leśnych puszczy ponura,
Gdy wśród niej biegna, myśli w głowach zmaca!
Właśnie jak bywa, gdy pies nie nie wskóra
Na polu, tropiąc lisa lub zająca,
Skoro ten znagła dał gdzieś w jamę nura,
Lub go wchłoneła krzaków gąszcz szumiący.
To widząc, sama gdy się im wymyka,
Z nich sobie chytrze sztydzi Angielika.

37.

Przez bór tam wiodła droga coraz szerzej —
Więc im się zdała jasną owa sprawa:
Iż tylko tedy, żądzom swych Rycerzy,
Mogła się była wymknąć Panna żwawa,
Tą tedy Orland, tą i Ferraut bieży,
Sakrypant również w tyle nie zostawa.
Wtem Angielika, własny bieg zwolniwszy,
Przodem ten pościg puszcza coraz żywszy.

38.

A ci zawzięcie w gęste mkną zarośle.
Wtem, gdy im drogę wpoprzek łom zawali.
Każdy z nich w trawę bacznie wzrok swój pośle:
Czy tam nie znajdzie tropu kędyś dalej?
Tu Ferraut, który mógłby być wyniosłe
Pyszałków królem, w dwóch, co z nim zostali,
Krzywo spojrzawszy, woła w tejże chwili:
— A wy tu po co, moi wielce mili?

39.

Precz ztąd, lub nazad! jeśli w prędkim czasie,
Śmierć mieć z mej ręki nie jesteście radzi!
Jam stróż mej Panny — więc wam od niej zasię!
I gdy ją ścigam — nie mi po czeladzi! —
Tu do Czyrkassa Orland: — Patrz-no. Zda się.
Ten tu Jegomość z nami tak się wadzi.
Jakbyśmy wpośród dziewczek siedzieć mieli.
Które u pieca ciągną nic z kądzieli.—

40.

A do Ferrauta:—Słuchaj ty hebesie!
Gdyby nie pałka twa bez hełmu bosa ¹⁾,
Dałbym ci wiedzieć, zaraz tu, w tym lesie
Żeś tylko wybrzmiał nędzny brzęk, jak osa. —
A na to Hiszpan:—Tak mi chodzić chce się,
A ty zaś — radzę — pilnuj swego nosa.
Bowiem choć sobie w szyszak łba nie kładę.
Dwom, jak wy, chlystkom dam aż nadto radę.—

41.

Rzekł Orland: — Proszę, królu, miły człeczku!
Pożycz mu gromkiej z czoła twego zbroi —
By znał ten głupiec, jak to pachną miecze.
I niech na przyszłość własnych słów się boi. —
— Tegoż ja sobie życzę — tamten rzecze —
Przeto, ty raczej, proszę, z głowy twojej

¹⁾ I. 14.

Daj mu szyszaka. A ja w tejże sprawie
Niemniej prążącą łaźnię mu wyprawię. —

42.

— O, błazny jedne! — tak im Ferraut na to —
— Gdyby szyszaków cknęła mię ozdoba,
To, na mej drodze stając, z grubą stratą
Wprędce mi własne dalibyście oba!
Więc raczej wiedzieć chciejcie zuchowata
Myśl mego ślubu. Bo mi się podoba:
Nie inny nosić hełm na mojej skroni,
Jak ten, co głowę Orlandową chroni! —

43.

— To ty — rzekł hrabia, śmiejąc się szeroko —
Z łbem swoim gołym szukać chcesz zachęty,
Byś Orlandowi wziął twej krwi posoką,
Co mu Trojanin dał, gdy w pierś był pchnięty?
Wiedz więc, że gdybyś miał go oko w oko,
Twój duch ze strachu zbiegłby ci aż w piętę,
I wśród tej całej o ten hełm odwagi,
Sam owszem, z jego rąkbyś wyszedł nagli!

44.

— Już z kopę razy — Hiszpan rzekł zuchwale —
Z tym tam Orlandem łatwą czynność miałem.
Z której, nie tylko bez szyszaka, ale
Szpetnie obdarty wyjść mógł z gołym ciałem.
Zaś, żem tak nie chciał, z tego rad się chwale —
Gdyż litość zbudził w sereu mem zmiękczaniem.
Na przyszłość jednak rzecz to niestracona —
I, com zamierzył, snadno się dokona.

45.

Tu już mój Orland, gniewny niesłuchanie,
Krzyknął: — Ty łgarzu, własnych słów kaleko!
Gdzie to i kiedy miałeś z tym spotkanie,
Z którym się lepsi, niż ty, na śmierć sieka?
Jam ów, z którego chęłpisz się, bałwanieli
Sądząc, od ciebie, że jest gdzieś daleko.
Obaczmy — czy ty, szyszak z głowy mojej,
Czy też ja z ciebie, zedrę łup twej zbroi?

46.

Lecz wprzód, nim słusznie skarci cię ta ręka,
Chcę zgnieść twe głupstwo równych sił wymianą. —
To rzekł, i skroń obnażył, i u sęka
Hełm zawiesiwszy, błysnął Durindana.
Miecz się Ferrauta również groźb nie lęka,
Więc oba duchem do rozprawy staną,
A każdy mieczem i puklerzem broni
Swej obnażonej dobrowolnie skroni.

47.

Znagła, ku sobie w pęd, jak dwa koguty.
Runęli z końmi ci junacy moi.
Ten tego rąbie, oraz dżga dopóty,
Ażby utrafił, gdzie jest przerwa w zbroi.
Lecz tak dobranej parze ostro kutej
Żadna się druga w świecie nie dostroił
Gdyż równie z męztwa, jak z nietykalności,
Jeden drugiemu nie nie pozazdrości.

48.

Ferrauta istność — tuszę, iż to wiecie,
Jako przez czary zewsząd jest broniona.
Z wyjątkiem miejsc, gdzie, w zarodku dziecię,
Ssie pokarm z matki wewnętrznego łona.
Więc aż po chwilę, gdy mu gdzieś na świecie
Kres padnie, w którym ziemskich dni dokona,
Tam, gdzie już żadna broń go nie ocali,
Siedm blach miał z tego hartowanej stali.

49.

Podobnież zewsząd Orlandowe ciało
Od ran broniła czarów siła rzadka.
W podeszwach tylko słabość miał nie mała —
Lecz tych strzegł pilnie, jak swych dni ostatka.
Był zresztą cały nietykalną skałą,
Jeśli prawdziwą jest w tej mierze gadka.
Ztąd, ten i tamten, raczej ku ozdobie,
Niżli z potrzeby, mieli stal na sobie.

50.

Bój wre — bój straszny! Gdzie się tylko sięga,
Rzekłbyś, iż wspólna grozi im zatrata!
Ferraut, nie próżno dłoni swej potęgą
Wciąż w zbroję wroga wgłębia ślad bułata,
Hrabia z Aglantu działa nie mniej tego —
Dziurawi, rąbie, szcerbi, w kęsy płata.
I tylko sama nie widzialna weale
Jest Angielika świadkiem w tym ich szale.

51.

Tak się zaś stało: że gdy najzawzięciej
Ci w siebie godzą, Sakrypant, bez mała
Rad ich utarczce, mając na pamięci
Pannę jedynie, co ich odbieżyła,
Rumaka swego szybkim ruchem skreśli.
By przypuszczalnym tropem biegł jak strzała —
I to tłómaczy: czemu tylko sama
Tej walki świadkiem była owa Dama.

52.

Ona zaś, właśnie wonezas, gdy junacka
Sprawa ta wrzała żądza krwi tuż przy niej —
W której o życie pełna groźb zasadzka
Szła ze stron obu — figlów złych Mistrzyni,
Myśl wzięła, szyszak sprzątnąć im znienacka —
By widzieć, co też który z nich uczyni,
Gdy ujrzą, jako znikł im w onej dobie?
Choć go nie miała długo mieć przy sobie.

53.

Owszem, Hrabie mu hełm ów chciała szczyrze
Oddać — lecz wprzód mu niech psikuska spletał
Więc go z gałęzi zdjawszy, w łono bierze,
Patrząc, jak jurnie walka wre czubata
Wtem, po namyśle, rzuca te Rycerze,
W bok skierowawszy zręczny skok bachmata,
A tych zaś jadła zapalczywość taka,
Że ich nie wprędce zdumiał brak szyszaka.

54.

Wtem pierwszy Ferraut popłoch o to wznieci.
I przystanawszy, na Orlanda woła:

— Patrzo! Toż widzę okradł nas ten trzeci!
Czy zuchwalszego widział kto warchoła?
Mamyż tu dłużej w pięści grać, jak dzieci —
Gdy już się swarzyć nie ma o co zgoła? —
Tu Orland również spojrzał i na żerdzi
Nie widząc hełmu, wielce się rozsierzdzi.

55.

— Masz słuszność. Ten to nędznik niezawodnie
Skradł rzecz, o którą żre nas żądza krwawa! —
Rzekł i ostrogą Bryliadora bodnie,
I mknie — aż za nim poszła w ślad kurzawa.
Też Ferraut, niemniej skarcić chcąc tę zbrodnię,
Na swym rumaku w tyle nie zostawa;
Aż wreszeie widzą ślad wśród gąszczy dzikiej:
Ten — Sakrypanta, ów zaś Angieliki.

56.

Hrabia się w prawo wziął i prosto bieży
W dolinę, w którą Czyrkass król pomyka,
A Ferraut pobiegł w stronę tych rubieży,
Ku którym chytra gnała Angelika.
Ta zaś, tymczasem, w gaj się chroni świeży,
Kędy, w cienistym chłodzie, toń strumyka,
Na to przechodnia cichym szmerem wita,
By w niej pragnienie gasić chciał do syta.

57.

Tu spocznie. Bowiem w haszczach tej rozłogi
Już się napadu znikąd nie spodziewa.
Swoją pierścień zresztą mając, wszelkie wrogi
Zdoła, gdy zechce, zmylić mądra dziewa. —
Więc naprzód przedmiot owej walki srogiej.
Szyszak, zawiesza na gałęzi drzewa,
A potem szuka miejsca, gdzieby zasię
Klacz uwiązała, co się w trawie pasie.

58.

A wtem, w te gąszcze chłodne, nader żwawie,
Jej śladem przypadł Rycerz on junaczy.
To widząc, Panna, w tejże chwili prawie,
Z pierścieniem w ustach, swej dopadłszy klaczy,
Hełmu niepomna, co gdzieś ugrzązł w trawie,
Swojego tylko bezpieczeństwa bacz —
I właśnie wtedy znika mu jak zmyta,
Gdy ten w radości ku niej biegł z kopyta.

59.

Znikła mu tedy w oczach, jak się rzekło —
Niby pokusy sen nad klejnot rzadszy.
A on jej wszędzie szuka z żądzą wściekłą.
Wreszeie, gdy próżno śladów jakich patrzy,
Złorzeczy Niebu swemu, lub znów Piekło
W pomoc przyzywa — poczem, z konia zsiadłszy,
Wraca, i kiedy najmniej się spodziewa,
Ujrzał na trawie hełm stracony z drzewa.

60.

Wziął go. Ten sam jest, co go zdawna życzy!
Po piśmie na nim wodził wzrok sokoli.
Tam czyta: — gdzie go Orland wojowniczy
Kiedy i komu z łażą zdarł poniewoli.
Więc go na głowę włożył, z tej zdobczy
Dziwnie się ciesząc — choć go wewnątrz boli,
Że tę postradał, która, jak niezwykle
Mara, tuż w oczach pierzchnęła mu i znikła.

61.

Z szyszaka tego, że go ma, jest właśnie
Tak rad, jak gdyby wsiał był na sto koni!
Teraz, tę pannę, co jak błysk mu gaśnie
W oczach, że tylko ma oskomę po niej,
Chce w puszczy znaleźć. Lecz to liczyć w baśnie.
By ją doścignął. Więc, gdy próżno goni
Jej cień rozpierzchnęły — przedsięwzięciem chyżem
W Hiszpański wraca obóz pod Paryżem.

62.

Tu on pociechę miał (choć stracił przecie
 Szczęście zaledwie oglądane zdala!)
 W tem, że ów szyszak zdobył — bo, jak wiecie,
 Tak przysiągł, gdy mu własny wzięła fala.
 Hrabia zaś długo szukał go po świecie,
 Wiedząc, jak on się łupem tym przechwala —
 Aż zgubę swoją pomścił należycie,
 Gdy, u Dwóch Mostów, wraz z nim, wziął mu życie.

63.

Tymczasem psotna Angielika owa,
 Nie rada z siebie, jedzie w dalsze strony.
 Gdyż w jej się sercu ciężki wyrzut snowa,
 Z tego, co zaszło w leśnej gąszczy onej.
 I mówi sobie: — Pięknie, ani słowa,
 Z mych rąk jest Hrabia hełmu pozbawiony!
 Ślicznie wdzięczności mojej mu dowiodę —
 Gdy on przezemnie taką cierpi szkodę!

64.

Bóg widzi, jak mię dobra chęć zawiodła,
 Gdy z niej przekornie zły się skutek iści!
 Porwałam szyszak, by o jego godła
 Nie szli ku zgubie zwadcy ci ogniści,
 Lecz, nie dlatego, by ta dusza podła,
 Hiszpan, z mych błędów ciągnąć miał korzyści. —
 Tak owa panna troszczy się i biada,
 Że się Hrabiemu stała z rąk jej zdrada.

65.

Niemniej się puszcza, choć jest frasobliwa,
 W tę drogę, która zbliży ją w kraj Wschodni.
 To jest widzialna — to, przez czarów dziwa,
 Znika — stosownie, jak jest jej dogodniej.
 Wreszcie, zjehawszy świata kęs, przybywa
 W gaj pewien, w którym, snadź na skutek zbrodni,
 Wśród towarzyszy dwóch, w sam środek łona
 Ranny młodzieniec jakiś, zda się, kona.

66.

Ale już o niej skrócić chcę śpiewanie.
 Bo mam pilniejszych rzeczy nader wiele.
 O Sakrypancie też i o Hiszpanie
 Na dziś wam rymów dalszych nie udzię.
 Bo mię ku sobie wabi niezbląganie
 Orland, którego drogą, szły na czele
 Zmartwienia, trudy i miłosne szaty —
 A te dobrego końca mieć nie miały.

67.

W mieście najbliższem, kędy nie wiadano,
 Kim był — bo z tego nie chciał szukać chwały —
 Szyszak na głowę nabył sobie — ano
 Nie dbał: dogodny był-li mu, czy trwały?
 Bo, wszak to wiemy, iż go żadną raną
 Pociski wrogów nigdzie tknąć nie miały —
 I tak przybrany, ku swej przyszłej biedzie,
 W deszcz i w pogodę, dniem, jak nocą, jedzie.

68.

Pora to była, gdy gwiazd garstka hoża,
 Noc przetańczywszy, w stronę już zukosa
 Idzie, twarz w rąbkach tuląc — i już Zorza
 Różanych blasków stała sноп w niebiosa —
 I już słoneczny rydwan z głębi morza
 Szedł w ślad rumaków, z których mżyła rosa —
 Kiedy, mijając wież paryzkich szezuty,
 Czem był, okazał, Rycerz znamienity.

69.

Spotkał zastępy dwa. Z tych jeden wiedzie
 Manilard stary. Niegdyś, jak najczęściej
 Ten król Norycy w bojach stał na przedzie —
 Dziś on do rady lepszy, niż do pięści.
 Zaś drugie Maurów dzielnie wiódł gawiedzie
 Król Tremizeny. Temu, tak się szczęści:
 Że go, nad wszystkich władców cenią doma —
 Zwie się zaś Alcyrd, jak jest rzecz wiadoma.

70.

Tu przetrawiała swe zimowe leże
Cma Saracenów, ku napaściom chyża,
Miasta i twierdze okoliczne bierze —
I coraz ciasniej w gród się główny zbliża.
Bowiem, Agramant król, gdy w żadnej mierze
Wysilkim broni nie mógł wzięść Paryża —
By ostatecznie dostać tej zdobyczy,
Spina ją zewsząd w pierścień obleźniczy.

71.

Prócz tych, z którymi przyszedł sam z Afryki,
Mnóstwa tam innych tłum się gwarny mrowił
Są, których przywiódł Marsil, władca dziki.
Są drudzy, za nim w ogień iść gotowi.
Dużo też z Francyi, jako najemniki
Na żołd wzięł. Bowiem, aż ku Paryżowi,
Prócz garstki gródków, co się dzielnie broni.
Niemal Gaskonię całą miał w swej dłoni!

72.

Zaczem, gdy właśnie z gór strumienie ruszą
Krę topniejącą w słońcu, a wesoła
Wiosna swem tchnieniem niwę łąk pastuszą
Poczęła zdobić w liść i w barwne zioła —
Tych wszystkich, którzy ciałem, jak i duszą,
Służyć mu radzi, on do Zboru woła,
Aby ich wygląd poznać mógł, jeżeli
Zechce, by wprędce rzecz swą rozpoczęli.

73.

Więc Tremizeny król z Norykiem całem
Wojskiem szedł w pochód, by być z tymi, którzy,
Zgarnięci w jedno wspólnych żądź zapalem,
Pokazać chcieli, kto z nich sprawniej służy —
Kiedy się Orland, jak to powiedziałem,
Z nienacka zetknął z nimi w swej podróży,
Tej poszukując duszą i oczyma,
Która w Amora więzach wciąż go trzyma.

74.

Skoro więc Alecyrd ujrzał tego, który
Męstwem nad wszystkie słynny jest rycerze,
I tak wyniosłe patrzącego z góry,
Jak ten, co z Bogiem Wojny wszedł w przymierze,
Zdumiony, widząc w oczach jego chmury
Gniewliwych wyzwiał — w onym Bohaterze
Uznał godnego dłoni swej wiarusa
I w bój z nim wstąpić zdjęła go pokusa.

75.

Więc, ufny w dziarskość, z koniem swym nie czeka,
I mknąc na oślep młody zawadyaka.
Ale mu zdrowiej było stać zdaleka —
Niż co go obces wiodła krewkość taka!
Gdyż Orland, błyskiem, piersi tego człeka
Na wskrós przebódszy, zwałił go z rumaka —
A ten, ze strachu chrapiąc, pędził w pole —
Choć już ostrogą nikt go w bok nie kole.

76.

Ziemia się zgnęła wstrzęsła i zadrżała
Rykiem wściekłego dziczy zbiorowiska,
Gdy ujrzą, jako, z młodzieńczego ciała,
Szeroką strugą krew najdroższa tryska.
Więc na Orlanda leci tłuszcza cała!
Kłują i siekają, przyskakując zbliska.
Lecz tych najwięcej, co świszczące grotty
Ślą zdala na ten Kwiat Rycerskiej Cnoty.

77.

Jaki się zrywa ryk wśród wieprzów dziczy,
Gdy się ta zgraja z ciężkim żalem dowie,
Że wilk, wypadłszy z kniei, lub zbrodnicy
Niedźwiedź wylazłszy z jamy gdzieś w dąbrowie,
Warchlaka porwał, który gorzko kwiczy
Pomocy żebrząc — tak, pohańców mrowie
Ku Orlandowi gnało pędem burzy,
Wyjąc: — Bij zabij! Niech nie żyje dłużej. —

78.

Dzid, strzał i mieczów krocie miał na zbroi —
 Krocie w puklerzu, którym bronił twarzy.
 Ten go maczugą z tyłu niepokoi —
 Ten wprost — ów chyłkiem cios mu daje wraży.
 Lecz Orland, obcy trwodze, w duszy swojej
 Ich broń i siły tyleż sobie waży:
 Co wilk, gdy obces wpadł do owiec stada —
 Dusł, co spotka — liczyż zaś nie bada.

79.

Ma w ręce nagi miecz błyskawicowy,
 Którym tak rojne Maurów gromi zgraje,
 Że kto chce liczbę zbadać rzezi owej,
 Swej wyobraźni próżny trud zadaje!
 Krwią dymi pole — trupów zaś tułowy
 Zaległy mostem już nie jedno staje —
 Gdyż puklerz, ani zbroja nie obrania
 Od Durindany cięć, pehnięć i płatania.

80.

Tem mniej tu starczy kaftan i zawicie,
 Którym po stokroć skroń jest okręcona
 Więc też nie tylko jęki, lecz słyszycie,
 Jak z wiatrem lecą głowy i ramiona.
 Śmierć zadyszana biega niepozbycie
 Po onem polu, gdzie co krok ktoś kona,
 Mówiąc: — A tożże, owa rozmachana
 Za sto kos moich starczy Durindana! —

81.

Jej cięć nie mogąc ustrzedz się inaczej,
 Wreszcie się ciżba co tehu pomknęła w nogi.
 I co wprzód obces szli, gdy mąż junaczy
 Mógł rady nie dać, sam, ich liczbę mnogiej —
 Ten i ów tylko, by się wymknął, baczy,
 Nie dbając, czy ma towarzysza drogi —
 Ta zaś: czy dobra, czy zła? nikt nie pyta —
 Lecz zmyka pieszo lub, gdy mógł, z kopyta

82.

Wtem Orlandowi coś jak niby dało
 Postaci własnej odbłysek w gładkiem szkliwie.
 Duch to był, w którym teższa krew nad ciało
 W głos wrzeć poczęła — czemu się nie dziwię —
 Że jest szlachetniej śmierci szukać z chwałą,
 Niż z nędznem życiem uciec obelżywie.
 Król to Norycyi z włóczęnią w toku mierza,
 By Francuskiego wstrzymać pęd Rycerza.

83.

Runął nań z ostrzem wprost. Lecz nawet z siodła
 Choć kęs go ruszyć nie było mu dano!
 Ten zaś, snadź bacząc, iż to pastwa podła,
 Bokiem go tylko skrobnął Durindana.
 Szczęściem dla króla, nieco go zawiodła
 Dłoń, razem z bronią ze sprawności znaną —
 Zaś Orland skutków dalszych już nie patrzy.
 Gdyż tamten leży, z konia na łeb spadłszy.

84.

Leży król stary tam, gdzie go zwałono.
 Orland na niego ani zważa, ani
 Przestaje rąbać, kłuć i sieć — gdyż pono
 Są przezeń wszyscy równo na śmierć gnani!
 Jak przez powietrze, gdzie im jest przestrono,
 Pierzchają szpaki przed zuchwalstwem kani —
 Tak tu, wśród żartkiej trzaskawicy takiej,
 Ten padł, ten zipie, ten się kopnął w krzaki.

85.

Nie prędzej Orland precz wziął broń swą krwawą,
 Aż gdy po trupach wolne zyskał kroki.
 Wtedy nad dalszą dumać jał wyprawą.
 Bo choć zna dobrze ten tu kraj szeroki,
 Nie wie, czy w lewo z koniem iść, czy w prawo,
 By nieomylnie i bez dalszej zwłoki
 Swej panny szukał — tak mu strach jest srogi,
 Aby przeciwnej nie wziął właśnie drogi.

86.

Więc jedzie dalej, ciągle myśląc o tej,
Za którą niemal świat już zbieżał cały.
I jak od siebie odszedł sam z tęsknoty,
Tak zszedł i z drogi. Wtem — u stóp gdzieś skały —
Patrzy — w szczelinie skrzy tam promień złoty,
Choć mroki leśne ze szpach stron czerniały.
Więc mu ciekawość szepece niecierpliwa:
Że może tam się Angelika skrywa.

87.

Bo, jak to nieraz bywa, gdy zająca,
Niby zbiegłego komuś z rąk hultaja,
Przez pola, wrzosa, haszcze, pomstą tehnącą
Prsów i zajądłych łowców tropi zgraja,
Wreszcie po gąszczach lada krzak potrąca,
Czy ten chudzielec gdzie się nie przyeczaja —
Tak z żądzzy znojnjej, kędy tylko może,
Swej panny Orland szuka w każdej porze.

88.

Więc patrząc w światłość, której się ptaszęta
Dziwują leśne, wjeżdża w bór ponury.
Skała tam była wzdłuż i wszerz pęknięta,
Jako pieczary wejście w głąbią góry.
Tę, już od przodu, wikła bluszczy i pęta
Głóg, cierniowemi dając wstręt pazury —
By snadź istoty, które tam się chronią,
Przed krzywdą wszelką bronić i pogonią.

89.

Jej byt zdradziło blaskiem swym żarzewie —
Bo zresztą zewsząd w mrok się kryła szary.
Co o tem wszystkim sądzić? Orland nie wie —
Lecz, w czyn chcąc zmienić krewkie swe zamiary,
Wraz Bryliadora wiąże tuż przy drzewie.
Poczem ostrożnie wchodzi wgląd pieczary,
Wchodzi — choć przykrą, bo ciernistą drogą —
Nie mając, ktoby wiódł go tam, nikogo.

90.

Szedł w dół dość długo, zbadać chcąc pustkowie,
Gdzie się ktoś żywcem pogrzebł w smutków szale.
Miejsce tam było szczupłe co się zowie,
Sklepienia trybem wykowane w skałe.
W niem oko tylko błądzić mogło sowie,
Gdyż dzień od zewnątrz nie dochodził wcale —
Szczęściem, że otwór nawskroś wyłobiony,
Niby okienko, widniał z prawej strony.

91.

Patrzy on — alić, w samym środku jamy,
Przed ogniem gładka panna się sadowi.
Ledwie jej może lat z piętnaście damy —
Bo tak się właśnie zdało Orlandowi.
A była piękna — że już dla niej samej
W Raj się zmieniały knieje tych pustkowi!
Lecz cóż? — w jej oczach łzy na rzesach drżały —
Znak, że jej duszę smutek jadł nie mały.

92.

Tuż wiedźma stara, której gęba babia
Słów szorstkich szybkie wyprawiała dziwa!
Lecz jak się tylko zjawił dzielny Hrabia,
Zaraz umilkła swacha ta gderliwa.
Ten zaś uczuciem grzeczność ich przywabia,
Jak mu to zwykłem wobec niewiast bywa.
A wtedy, wstawszy każda z nich z siedzenia,
Niemniej uprzejmy ukłon z nim wymienia.

93.

Co prawda, zrazu bardzo je przeraża
Głos usłyszanej niespodzianie mowy —
I ta, rycerza postać zda się wraża,
Bowiem zakuta w stal od stóp do głowy.
Ten zaś, wręcz wiedzieć imię chce zbrodniarza:
Zkąd on? gdzie? kiedy? i przez czyn jakowy,
W tej tu nizekzemnej jamie, jak w mogile,
Żywcem pogrzebać śmiał powabów tyle? —

94.

Panna chce mówić — lecz ma trud niemały
 W dźwięk przybrać myśl swą łkaniem przerywaną!
 Z jej ust różowych słowa wyjśćby chciały,
 A zda się w piersi utkną i zostaną!
 Czy na jej licach błyszcza jak kryształ
 Kropli, na kwiatkach wonnych, w letnie rano... —
 Lecz tu już, w innej pieśni, piękne panie,
 Dam wam serdecznych smutków jej wyznanie.

PIEŚŃ XIII.

32.

Tak Orlandowi owa Panna biała
 Skarży się z łkaniem, łamiąc drobne ręce.
 Padalec, nawet żmija by zdołała
 Syknąć współczucie równie srogiej męce!
 Wtem, gdy płacz gorzki głębiej wstrząsł jej ciała,
 Ułożeniem krzepiąc członki te dziewczęce,
 Tłum drabów z boru zagnała przypadek do niej
 Z rohatynami i pałkami w dłoni.

33.

Ich wódz miał jedno, ale takie oko,
 Co nie wprost patrzy, jeno skośną stroną.
 Bo mu gdzieś drugie, zrecznie a głęboko,
 Jak nos i szczękę, z dyablem wyprawiono.
 Ten, widząc zezem, iż więc pod opoką
 Siedzi wojownik z panną zasmuconą,
 Rzekł do swych druhów: — A toć ptaszek rzadki,
 Który sam z własnej woli wleciał w siatki! —

34.

A do Orlanda: — Któż gdzie widział, aby
 Dwóch tak się zeszło w porę, jak my oba?

Nie wiem, czyś sam zgadł, czy z ust tej tu baby
 Znasz, jak mi dziwnie strój się twój podoba.
 Dość, że mię nęcą zbroi tej powaby
 I do łez wzrusza trefna jej żaloba
 Więc, święć się twoje przyjsięcie ukochane —
 Gdyż wnet z twej łaski rzeczy tych dostanę. —

35.

Rozśmiał się Orland i powiada na to:
 — Witam cię sercem, oberwańcze miły!
 Chętnie ci dam tę zbroję, a z zapłatą
 Nie myśl, że będziesz kusił się nad siły. —
 To mówiąc, z ognia głównię wziął sekata
 Z płomieniami, które sycząc z niej dymiły,
 I ten mu pocisk wrzepił wielce rącho
 Tam, gdzie mu brwi się ponad nosem łączą.

36.

Tej żagwi węgle w czaszkę mu się wgniota,
 A też i w oba ślepie Jegomości,
 Zwłaszcza zaś w lewe, które jeszcze po to
 Miał, by się z dziennej cieszyć mógł światłości.
 A nie dość, że go zżarła mdła ślepotą,
 Lecz jeszcze w mózgu tak uń się rozgości.
 Iż go wpisała między owe mary,
 Które przez Kocyta wozi Charon stary.

37.

Był stół w bezpiecznej jamy tej pąmroce,
 Gruby na kilka źle zeiosanych piędzi,
 Mający w dole zamiast nóg dwa kłoce,
 Stół uczt zbójceckich. Ten więc, u krawędzi
 Chwyciwszy Orland, grał nim tak szeroco.
 Jak śmiga biczem ten, co stado pędzi.
 A wtem go w rękę zakręciwszy, puszcza
 Tam, kędy drabów szła na niego tłuszcza.

38.

Temu gruchocze gnaty, łeb rozwali,
 Temu w grzbiecie więźnie — tu trup, tam kaleka!
 Ci jeszcze zipią, tamci już skonali.
 Kogo nie dosięgł cios ów, ten, ucieka.

Podobnie, pchnięty z górskiej kędyś dali
Głaz silną dłoń pasterskiego człeka,
Skacze po wirachach, trzeszcząc, aż dosięże
Miejsce, gdzie się w słońcu wygrzewają węże.

39.

Wtedy to każdy zmyka bez mitręgi:
Ten ogon stracił, temu krwawi szyja,
Temu strach skurczył członki w drętwiec tęgi —
Temu już pomoc nie zda się niczyja —
Ów próżno zbiera przetrzacone kregi —
Sześcielszy, w trawie, świszcząc, się przewija; —
Tak i tu było. A też nie dziwota,
Gdyż tylko jeden Orland równie grzmota.

40.

Ci, których wały nie dosięgły one.
(Siedmiu ich było według słów Turpina),
Gdy śpieszą nogom zwierzyć swą obronę,
Orland im sobą drogę w tył przecina.
A gdy miał w garści zbóje te strwożone,
W też im postronki, które ta drużyna
Dla innych miała cudzej krzywdy cheiwa,
Ręce i nogi silnie skrępowywa.

41.

A gdy już wszystkim radę dał, z pieczary
Włókł jak barany tę zmartwiałą rzeszę,
Gdzie tuż opodał dąb się piętrzył stary.
Z tego, gdy wszelki niższy pęd odkrzesze,
Poczynił w górze trefne z nich wiszary,
Krukowi a wiedźmom nocnym ku uciesze.
Tak to, na owem drzewie przy opoce,
Orland dojrzałe Czartu dał owoce —

PIEŚŃ XIX.

OBJAŚNIENIE.

Medor znalazłszy na polu bitwy zwłoki swego króla Dardynela, poległego w rozprawie z Rynaldem (Pieśń XVIII,

152 — 190), zapuścił się z niemi w las, w którym stracił z oczu towarzysza swego Klorydana. Jednocześnie zaś następują na niedobitków Szkoci, pod wodzą królewicza swego Zerbina, który z koniem natarłszy na Medora, już mu ma życie na jego błaganie darować...

13.

...Wtem lichy żołdak, nie czekając dłużej,
Wbrew godziwości rycerskiego prawa.
W pierś Medorowi, obyczajem tchórzy
Cios wraził, właśnie gdy się on poddawa.
Więc wstrząsł się Zerbin, bowiem wskroś go wzburzy
Takiego czynu chytrość a niesława —
Zwłaszcza, że Medor padł, i tak się zdało,
Jakby już jego duch opuścił ciało.

14.

Rozjadł się Zerbin. — Pomszczę się, młodzianie,
Gdyż my podobnej hańby nie znaszamy! —
To powiedziawszy, z koniem niespodzianie
Runął na sprawcę te, ohydnej plamy,
Lecz ów, śmiertelnie czując w członkach drganie,
Rozważnie drapnął — w chwili zaś tej samej,
Medora swego smutną widząc dolę,
Klorydan z lasu wybiegł w bitwy pole.

15.

I łuk rzuciwszy, sam już, w swej rozpacz
Oburącz z mieczem wpadł na wrogów miecze,
I drogo sprzedać chcąc swój byt junaczy
Tnie i wysiłki czyni nadezwolowicze.
I krwią gdzie stąpi ślad na piasku znaczy,
Choć wie, że z krwią tą życie z niego ciecze.
Aż gdy już wszystkie stargał w sobie siły,
Padł tuż, gdzie poległ Medor jego miły.

16.

Zaczem, w ślad wodza szkockie ono mrowie
Niebawem puszcza znów połknęła głucha.
A tak zostali tylko dwaj Maurowie —
Ów trup, a drugi niepewnego ducha

Młodzieńczy Medor. — Ach! i któż wypowie,
Jak drogocenna krew mu z piersi bucha!
I mógł skonanie mieć przedwcześnie skore,
Gdyby nie nagła pomoc w samą porę.

17.

Oto spostrzegła tego nieszczęśnika
Wieśniaczka pewna — lecz się w jej odzieży
Ani królewskość taka nie spotyka.
Ni przy powadze powab równie świeży.
Dość, że gdy powiem, że to Angielika
Nadobna była — każdy mi uwierzy —
Bowiem przezemnie była już śpiewana,
Ta dumna córka Katajskiego Hana.

18.

Odkąd obrączkę aby zdobyć złotą,
Brunela ona pchnęła w śmierci ciszę ¹⁾ —
Tak niesłychaną zdjęta jest ślepotą.
Że światem całym gardząc w swojej pysze,
Samopas chodzi, ani dbając o to:
Że z tych, co spraw jej byli towarzysze,
Orlanda nosząc w sercu swem, niestała,
Wnet Sakrypanta swym kochankiem zwała.

19.

Lecz nadewszystko wstyd jej, niby zbrodni,
Rynalda z bratem wścieklej o nią burzy ²⁾
Bo tak mniemała, że więc najniegodniej
Upokorzeniu, myśląc o nim, służy.
Tymczasem Amor, przemożniejszy od niej,
Podobnej pychy nie chcąc znosić dłużej.
Tu przy Medorze ciężko rannym, chętnie
Czatował na nią z grotem na cięciwie.

¹⁾ Opowiedziane to jest w Pieśni IV. 14.

²⁾ Pieśń I. 8.

20.

To więc młodzieńca tego gdy ujrzała,
Który nad życie śmierć wybierać woli,
Gdyż mu jest sroższą od udreńceń ciała
Pamięć nieszczęsnej pana jego doli
Litością zdjęta piękność ta zuchwała
Rzewnemi łzami wilży wzrok sokoli,
A tuż i twarde serce w niej topnieje,
Gdy smutne jego usłyszała dzieje.

21.

Więc jej na dobie zdała się w tej mierze
Indyjska wiedza w ratowaniu zwawa —
(Z onej mądrości wszyscy się tam szczerze
Cieszą, i z niej jest ich rozgłośna sława,
Chociaż z uczonych ksiąg jej nikt nie bierze,
Lecz dziad ją wnukom z ust do ust podawał,
Tedy mu w ranę treść z ziół różnych saczy
By naprzód wstrzymać upływ krwi zbyt rączy.

22.

Poczem uważnie poszła przez burzany
Rwać krzew, z którego dumna bywa łąka.
Czy jest dryjakwią, czy dyktamnem zwany,
Nie wiem — a raczej strach mię uciąć baka —
Dość, że jest taki, co z krwawiącej rany
Złośliwe w siebie gorącości wsiąka.
Jakoż rósł skromnie wśród chwastów rzeszy —
Więc go uszczeknąwszy do Medora śpieszy.

23.

Wtem, w gaj gdy weszła, tak jej traf usłuży,
Że tam strapiiony pasterz z konia zsiada.
Swej on jałoszki, dwa już dni czy dłużej,
Szuka, odbitej Bóg wie gdzie od stada.
Więc go zabrała tam, gdzie w krwi kałuży
Grzęźnie Medora twarz śmiertelnie blada —
Gdyż z żył mu krew ta uszła tak obficie,
Że dziw, iż dotąd trzymał w sobie życie.

24

Tak mu przywiódłszy konia, w chwil niewiele
Chce, by się zadość jego zdrowiu stało.
Więc krzew z korzeniami wśród kamieni zmiele,
I sok zebrawszy z niego w dłoń swą białą,
W ranę mu wlewa, poczem owo ziele
Weiera w stężale młodego chłopca ciała.
I stał się istny cud — gdyż wyznać muszę —
Medor niebawem uczuł w członkach duszę.

25.

Nawet na koniu wnet się usadowi,
Gdy mu go pasterz podał najemniczy.
Lecz wrzód uczynić swemu chce Królowi
Grób, z Klorydanem wspólny, w leśnej dzicy,
By obok spali towarzysze owi —
Poczem dopiero szedł gdzie panna życzy.
Zaś Angielika, razem z nim, z litości,
W pasterza skromny szafas jedzie w gości.

26.

Z litości mówię, którą była tknięta,
Gdy on półmartwy leżał tam u drzewa.
Potem gładkości jego ją ponęta
Wzruszać poczęła. Wreszcie, piękna dziewa,
Gdy raz ten przedmiot myśl jej ujął w pęta,
Czuła, że serce jej się tak rozgrzewa —
Tak się rozgrzewa — że aż niespodzianie.
Wrzące buchnęło zagniało w niem kochanie.

27.

Więc wiódł ich pasterz, kędy wśród pustkowi,
Wgłębieni w haszcze, oraz w gąszcz kolezaty
Z żoną i z dziećmi żyli sobie zdrowi,
Ciesząc się wcale niewybredną chatą.
Tam to przez pannę wprędce Medorowi
Z rany ustąpił wszelki ból — a zato,
Bezwiednie przezeń w sercu jej zadana,
Tem się boleśniej zaogniła rana.

28.

I niebezpieczna rana i głęboka,
Od niewidzialnej strzały, lecz za katy
Celnie rażącej, którą na nią z oka
Medorowego wysłał zbój skrzydlaty! —
Więc się jej przykrą staje każda zwłoka,
Gdyż chce, by on miał zysk, a ona straty,
I dba jedynie własnej czci zdradzycini,
By tem był zdrowym, co ją chorą czyni.

29.

I w niej się tyleż jęczy rana skryta,
Ile się jawna młodzieńcowi goi.
I wędnie panna, młodzian gdy rozkwita
I kiedy ona zbywa krasy swojej,
Dla niego zda się uśmiech mieć Charyta.
Słowem, tak było z życiem tej dziewoi —
Jak gdy się pocznie śniegu odtajanie,
Skoro mu słońce dojmie niespodzianie.

30.

By się z boleści łoża dźwignąć cało,
Ludzie lekarza w pomoc sobie zową —
Toż Angielice także się wydało,
By przez Medora była z chorej zdrowa.
Więc mu niebawem duszę swą i ciało
Tak zaleciła ust i oczu mową.
Że młodzian stał się, nie nie zawiniwszy,
Ni ztąd, ni zowąd, z ludzi najszcześliwszy.

31.

Hrabio Orlandzie i Czyrkaski Panie!
Snadź — o Rycerze wielce zawołani! —
Czyni są wasze nazbyt u niej tanie,
Czy zbyt kosztowna służba u tej pani!
Bo czyż wam kiedy choć podziękowanie
Od ust wysłała zato, coście dla niej,
Krwi nie żałując, czas porządnie długi
Z serca działali, dziwnie wierne sługi?!

32.

I ty, coś dla niej śmierci miał gorycze,
Cny Agrykanie! — chociaż ona dla cie,
Wzgardę i pełne wstrętu złe oblicze
Raczyła tylko mieć — i ty Ferracie —
I mnóstwo innych których już nie zliczę —
Czyżbyście rzekli: że zapłatę macie —
Gdyby w Medora wam objęciach dano
Widzieć tę srogość przez was ukochaną? ¹⁾

33.

Więc, jak się rzekło, z najzarliwszej chęci
Dziewiczy wianek wziąć mu ona dała,
By z tych, co byli przez nią w pętą wzięci,
Żadnemu żadna ztąd nie rosta chwala!
Wszakże — dla wstydu — związek ich uświęci
Weselna družba niezbyt okazała,
Na której swatem Amor był szalony,
Przy dziewczęstwach pasterzowej żony.

34.

W pustelni skromnie te odbyto gody,
Choć, proszę wierzyć, jak najuroczyściej.
Poczem, ta panna młoda i ten młody
Mieli miodowe błogich dni korzyści.
Nie mogąc ona jego się urody
Napatrzyć, zawsze chce być z nim, aliści,
Choć wciąż go sobie garnie ręką białą,
Nigdy go niema dość, a zawsze mało!

35.

W noc, we dnie, z dłonią w dłoni, jak najmilej
Czas trawia, siebie samych towarzysze!
To w gajów gęstwie, to wśród gór bładzili,
To znów na strudze łódka ich kołysze.

¹⁾ Tych wszystkich zalotników wymienia pieśń
VIII. 62 i 3.

W wiatrach się rzeźwią, a zaś w skwarnej chwili
W pieczar potulne chronią się zacisze,
Jak była owa, co to raz wśród burzy
Schadzee Dydony z Eneaszem służy.

36.

Tedy, na korze wszelakiego drzewa,
Na chaty odrzwiach i na każdej ścianie,
On, łowczym nożem, a zaś piękna dziewczyna
Szpilką od włosów ryje swe kochanie.
Na skałach nawet — bowiem się spodziewa,
Że tak na wieczne czasy pozostanie!
Jakoż się wszędzie napis ten spotyka:
„Z Medorem swoim piękna Angelika“.

37.

Wreszcie, w czas jakiś, chce szybkimi loty
W swój Kataj wracać, aby tam — o dziwy! —
Ojców koroną wieńcząc swe pieczęty,
Sprządz się wiecznemi z lubym swym ogniwy.
A miała sobie naramiennik złoty
Kamieniami skrzący, ku pamiętce tkliwej:
Że Orland nigdy wiary jej nie złamie —
I w ten zdobyła zwykle śnieżne ramie.

38.

Ziliant go kiedyś dostał od Morgany ¹⁾
Gdy go zazdrośnie strzegła na jezierze.
Ten, przez Orlanda z toni złej wyrwany,
Dał mu go, w dowód, że był wdzięczny szczerze.
Aż wreszcie Orland, gdy dalszemi zmiany,
W świat z sobą piękną Angielikę bierze,
Ten skarb, jak czynić zwykli zakochani,
Dał w słodki zakład serca swego pani.

39.

Jej on nie wzruszał błogich wspomnień siłą,
Lecz w jego blasku wartość dla niej cała.

¹⁾ Opowiada o tem Bojardo w „Orlandzie Rozko-
chanym“.

I ta kosztowność pannie tak jest miłą,
 Że ją nad wszelki ceni strój bez mała.
 I nie wiem nawet jak się to zdarzyło:
 Że jej na wyspie onej nie stradała,
 Gdy ją okrutnie z wszelkich szat zwleczoną
 Na żer morskemu dziwu wystawiono.

40.

Więc tą ozdobą, wobec której blednie
 Dar wszelki inny, ona z serca darzy
 Pasterzy dwoje, którzy w noc i we dnie
 Ją i Medora mieli w pilnej straży.
 Za co swojemu szczęściu odpowiednie
 Życzenia wzięwszy od swych gospodarzy,
 Wprędce ku pasmu owych gór pomknęli.
 Których grzbiet Francję od Hiszpanii dzieli...

PIEŚŃ XXIII.

OBIAŚNIENIE.

Orland, w obronie Zerbina, potyka się z Mandrykardem,
 ten zaś znagła z oczu mu uchodzi.

100.

...Pohaniec, konia spiąwszy, gracko zmyka!
 W las wbiegł i świsnął jakby grot z pałaka.
 Mknie Orland za nim—zewsząd puszcza dzika—
 Dwa dni w niej rycerz tam i sam się błąka.
 Aż kryształową ujrzał toń strumyka,
 Którego brzegi miękka zdobi łąka,
 W kwiaty się ona tkaną być wydaje.
 A tu i owdzie drzew szumiące gaje.

101.

Właśnie południa senne gorącości
 Wabiły słodko w cień i w chłodne źródło.

Więc Orlandowi zdało się najprościej,
 Że on tu, zdjawszy hełm i cięższą zbroję,
 Dla wypocznienia mile się rozgości...
 Niestety! Własnych słów się moich boję! —
 Tu on szął znalazł zamiast ciszy błogiej —
 I zamiast kwiatów wziął w swe seree głogi!

102.

Toćże, gdzie spojrzął, czyta w żywym drewnie,
 I w skał omszałych ścianach — słowem wszędzie —
 Ryte o jakimś gachu przy królewnie,
 Zapałów pełne dwojga dusz orędzie.
 O zgrozo! Więcże, w miejscach owych, pewnie
 Ona, w miłosnych szalów swych obłądzie,
 Pasterską chatę mając w pobliżności,
 Czci swej niepomna, ze swym lubym gości!

103.

„Z Medorem swoim piękna Angielika!”
 „Nadobny Medor z Angieliką swoją!”
 Ile słów, tyle gwoździ mu przenika
 Piers, choć żelazną jest broniona zbroją!
 I myśli, w głowie tego nieszczęsnika,
 To chcą uwierzyć, to się wierzyć boją!
 Może to inna Angielika jaka?
 Lub tylko nawet pusty żart junaka?

104.

— Gdzież? Pismo jest jej ręki. Toćże przecie
 On zna je dobrze. Ale znów, być może,
 Ona, miłostki te, gdy wiedzieć chcecie,
 Zmyśliła tylko jemu ku przekorze? —
 Tak to, sam sobie przecząc i, jak dziecię,
 Tylcami ostre wykręcając noże,
 By go nadzieja nie odpadła kłiwa,
 Samego siebie chętnie oszukiwa.

105.

Chee w błąd swój wierzyć — a tu zazdrość blada
 W otuchę jego dmucha sykiem węży!
 Jak nieopatrzny ptak, co w sieci wpada,
 Albo na lepie ugrzązł jak najteżej —

Tem sroższym jest mu lep i oczek zdrada.
Im chyżej skrzydły drga i członki pręży! —
Wreszcie szedł Orland tam, gdzie była blizka
Pieczara, z której chłodny źródło wytryska.

106.

U wejścia do niej, kiedy kto rozehyli
Bluszez kręty, oraz dzikich win pakowie.
Pozna, jak często, w południowej chwili.
Tu przebywali tkliwi kochankowie.
Jak zaś rozkosznie błogi czas pędzili.
Z napisów licznych też się każdy dowie.
Gdyż słowa o tem zdobią każdą ścianę,
Węgłem, a nawet kredą popisane.

107.

Wreszcie Orlanda błędny wzrok uderza
Wyrazy, wielce przykre, jak ujrzymy
Te, własną ręką, i snadź bardzo świeżo,
Wypisał Medor, zdobiąc w dźwięczne rymy.
Gdyż słodka miłość, między tą młodzieżą
W poezyi miała język swój rodzimy.
Dośłownie piękniej rzecz ta pewnie brzmiała.
Moim zaś wierszem oto treść jej cała:

108.

„Ustroni cicha, majem ocieniona!
„Świątynio, w której czezą się zakochani!
„Kędy urocza córka Galafrona,
„Serc wielolicznych nieużyta pani,
„W objęciach moich drząc, z rozkoszy kona!
„Wzamian za moje szczęście, cóż wam w dani
„Dam biedny Medor? — chyba życie całe
„Wszem wobec waszą głosić będę chwałę.

109.

„Więc wy, Miłości uczni! coście od niej
„Łask doświadczyli — chłopcy i dziewczęta!
„I czy kto miejsce tych gość jest, czy przechodni,
„Traf, czy go żądza wiedzy usmiechnięta.
„Tym błogim kniejom checiecie jak najzgodniej
„Wiecznego życzyć dniem i nocą święta!

„I niechaj obca stopa ich nie splami —
„Bo tu wybrani tylko wchodzą sami.” —

110.

Tak to Arabska brzmiała mowa dzika,
Lecz Orland znał ją równo swej łacinie,
I umiejętność tego tam języka
Nieraz mu zbawczą była, gdyż jedynie
Wśród Saracenów, gdy się on przemyka,
Dzięki jej, zawsze z rąk się im wywinie.
Lecz że i mądry zginąć może marnie.
Nie zysk on z tego dziś ma — lecz męczarnię!

111.

Czyta i czyta — zdala, z boku, zblizka.
Chce wąpić — nędzni gorszą go szyderce.
Chce wierzyć złemu — strach go pośmiewiska.
Gra i przegrywa w sprzecznych żądz szermierce.
I ileż razy w piersi swej zaciska
Wyziębłą dłońią rozgorzałe serce!
Wzrok błędny wreszcie utkwiał w skał granity
I już się zdawał sam jak w granit wryty.

112.

O mało tego nie przypłacił zdrowiem,
Cierpiąc, jak cierpi mało kto z nędzarzy!
Wierzcie mi, gdy wam z doświadczenia powiem:
Że się podobny ból nie łatwo zdarzy!
Bezwładną głowę zwiesił w dół, albowiem
Wszelka mu buta pierzchała z bladej twarzy.
Szczęśliwy! komu boleść nazbyt żywa
Łzy z oczu, albo z piersi głos dobywał!

113.

Lecz w nim owego ciosu ból ponury
Tak wolę zdrętwił, że się stała zmarłą.
W pękatej bańce bywa tak, u której
Zdziałano w hucie nazbyt szczupłe gardło.
Jeśli ją zagnęła schyliłszy dnem do góry,
Wnet się w niej wszystko w taki tryb zaparło,
Że płyn przezroczy, zamiast strugi rącej,
Zaledwie kropla się po kropli sączy.

114.

Wtem, znów się z przykrych otrząsając cierni,
 Mniema w tem widzieć swej miłości próby.
 Lub znów: że zazdrość czyjaś na to czerni
 Niepokalaną sławę jego lubej,
 By ten, co dotąd służył jej najwierniej,
 Rozpaczą tknięty, nie uniknął zguby.
 I dziw mu, jak też biegle niestychanie
 Ktoś zdołał udać ręki jej pisanie.

115.

Tak się to rzeźwiąc w sposób coraz gładszy,
 Otuchę w siebie wmawia, ile może.
 Wtem, Bryliadora swego znów dosiadłszy,
 Wyjeżdża ztamtąd pod mierzchnące zorze,
 I tak on jedzie jakiś czas — aż patrzy —
 Dymy z nad chaty widać, a w oborze
 Ryk bydła słyszy, oraz psów szczekanie —
 Więc on, by spocząć, tam na nocleg stanie.

116.

Wprędce tu — jak jest rzecz zwyczajna z drogi —
 Koń w stajnię, gość zaś w komnat szedł podwoje.
 Ów z szat go zwleka, ten mu z pięt ostrogi
 Z obuwiem ściaga, inny zdejma zbroję.
 A był to szalas, w którym on ubogi
 Medor, w pierś pchnięty, znalazł szczęście swoje.
 Orland w świetlicę szedł — a zaś wieczery
 Nie chce — syt bólu — choć w pociechę wierzy.

117.

Lecz im się dzielniej krzepić chce w niedoli,
 Tem sroższy cierpiąc żal, usycha prawie!
 Gdyż w którą stronę pośle wzrok sokoli,
 Pism wstrętnych wszędzie dręczy go bezprawie!
 Chciałby rozpytać, ale milczeć woli —
 Bowiem o prawdę słów tych jest w obawie,
 I chciałby raczej, aby rzecz niemiła,
 W mgłę tonąc, mniej mu dolegliwą była.

118.

A wszak dość jasno prawią mu już o niej
 Pokryte pismem chaty tej teremy.
 Wtem pasterz — litość go do tego skłoni —
 Widząc, że Rycerz jest czemś przykrem niemy,
 By mu rozrywkę sprawić w smutnej toni,
 Kochanków dwojga, te, o których wiemy,
 Jął mu szeroco rozpowiadać sprawy —
 (Wnet Orland żał miał, że ich był ciekawy!)

119.

— Jak on, przez pannę piękną ubłagany,
 Nakoniec przywiódł w chatę swą Medora.
 Którego ona z jego ciężkiej rany
 Leczyła pilnie — aż, gdy przyszła pora,
 Kupida zdrajcy przedziwnemi zmiany,
 Ten zdrów, a panna wyszła z tego chora,
 I to tak chora, że aż w tej chorobie
 Nie mogąc innej rady znaleźć sobie,

120.

Ona, co przecie, jak świat cały wieści,
 Wschodniego wladztwa jest królowną czczoną.
 Wręcz zapragnęła, depcząc wstyd niewieści,
 Stać się pacholka służebnego żoną!... —
 Na tem skończywszy pasterz swe powieści,
 Kazał, by ten mu klejnot przyniesiono,
 Który, uwołąc swego miłośnika,
 Z siebie mu dała wdzięczna Angelika.

121.

To zakończenie Orlandowi było
 Gromem, co znagła pękł wśród wrzającej burzy!
 Wstyd mu ku ziemi głowę zgiął pochyło,
 Że on tak wiernie ziej miłości służy!
 Radby się dźwignąć wszystkiej woli siłą,
 Lecz darmo! Świadka znieść nie może dłużej —
 Gdyż tak dręczoną pierś ma westchnieniami.
 Że wzrok mu wprędce łaza niemężka splami.

122.

Więc też, zostawszy sam, gdy już nikogo
Wstydić się nie miał, w łóżę padł oczyma
Pełnemi płaczu; gdyż tę boleść sroga
W swem wzdętem łonie jakże dłużej wstrzyma?
Lecz wnet znów członki jego znieść nie mogą
Tych dojmujących, niby pierś ojezyna,
Puchów, od których kamień miększy bywa,
I mniej kolącą zda się być pokrzywa.

123.

Wtem znagła, myślom jego coś podpowie
Przypuszczeń strutych podszept: — a jeżeli
Tu, nie gdzieindziej właśnie współgachowie
Bezwstydne z sobą wczasy swoje mieli —
Więc za nic dłużej nie chcąc w tej alkwie
Przebywać, z onej zerwał się pościeli —
Jako, gdy kosiarz, tuż przy twarzy prawie
Gadzinę ujrzał, do snu ległszy w trawie.

124.

I gdy go takie obrzydzenie chwytą
Tych miejsc, głoszących jego hańby dzieje,
Nie dba, że noc jest w całun z chmur spowita,
Ni czekać raczy, rychło rozednieje.
Wdział zbroję, dosiadł konia i z kopyta
W bór wpadłszy, pędzi w najciemniejszą knieję.
I tam, sam na sam z sobą, w leśnej dzieży,
Zgrzyta i z bólu w niebogłosy ryczy!

125.

Ryczy i wyje, w prochu się przewala,
Bez tehu! bezsenny! — aż się wspomnieć boję.
Od wszelkich siedzib ludzkich będąc zdala,
W haszczach ma tylko legowisko swoje.
Dziw, zkąd w nim jęków tak bezdenna fala
I zkąd łez wrzących tak obfite zdroje?
I czasem, w przerwie burzy tej gromowej,
Łkając, wyrzeka następniemi słowy.

126.

— Już to nie łyż są, w których się rzewliwa
Skarga smutnego wypowiada człeka —
Bo z takich przecież ulga jakaś bywa,
Choćby od pociech słodkich dość daleka!
Tu zaś, przez owych łez krynicznych szkliwa
Żywotna siła ze mnie snadź wycieka!
Żar to wewnętrzny tak je w świat wypędza,
I chyba w grobie skończy się ta nędza!

127.

Ani też zbawcza cieszy mię uluda
Westchnień, co zwykle nawiedzają łona.
Tamte niekiedy wręcz się stłumić uda —
Od moich pęka pierś i dusza kona!
Miłość to we mnie sprawia owe cuda!
Miłość to, razem wierna i wzgardzona,
Trzyma mię w życiu w sposób niepojęty,
Mimo wszelakie do istnienia wstręty!

128.

Jużem ja trupem legł — choć niby stoję!
Zginął już Orland, gdyż go Angielika,
Wyzwawszy w zdrady swej nierówne boje,
Śmiertelny dała cios w pierś przeciwnika!
Jam tylko jego duch rozdarty w dwoje,
Co się po piekle doli tej przemyka!
Patrzcie na moje to pośmiertne życie
Wy, którzy jeszcze w miłość swą wierzycie! —

129.

Tak smutny gadał z puszczy szumiącą jodłą
W noc bezmiesieczną. Wtem — gdy brzask się stanie —
Coś go ku źródłu temu znów przywiodło,
Gdzie Medorowie wszędzie lśni pisanie.
Tu on, jak gdyby w twarz obelgę podłą
Znienacka dostał — tak go niesłychanie
Rozjadł szyderyczy widok tej świątyni,
Że, miecz chwyciwszy, nie wie już, co czyni.

130.

Jał rąbać wszystko! Z pism tych, w pomście dzikiej,
 Pod niebo leci gruz i z grzmotem pada!
 Nieszczęsna schadzko pięknej Angieliki
 Z Medorem twoim — biadaż tobie! biada!
 W tobie już ani gniazda swe słowiki,
 Ni schroni pasterz w cieniu twym swe stada!
 A ten wśród smugu strumień tak przezroczy,
 Jakże on odtąd mętą toń zatoczy!

131.

Oto więc mruczy, dąsa się i kłębi,
 Gdyż kłód, pni, głazów, tyle w niego padło,
 Że ci niewczesni goście, aż do głębi
 Zburzyli jasnych Niebios w nim zwierciadło! —
 Aż wtem, wciągnawszy gniewu pęd jastrzębi,
 Orland, zdyszany, z twarzą znojem zbladł,
 Z sił wyczerpany, sobą sam pobity,
 Padł wznak, wlepiając błędny wzrok w błękity.

132.

Niby oprawcze spełniwszy rzemiosło,
 Legł, oniemiałą mową swą zachłysty.
 Nad tą zwaloną z nóg postacią wzniosła,
 Po trzykroć z rzędu blaski słońca błysły.
 A udręczenie tak w nim dzielnie rośło,
 Że się wyzuwszy z siebie, stracił zmysły —
 I gdy czwartego dzionka brzaski dniały,
 Począł na sobie zbroję rwać w kawały.

133.

O ziemię puklerz, hełm kunsztownie gięty,
 Pancerz i szyszak rzucił, aż zagrzmiało!
 I wszelką inną zbroję zgniótł na szczęty,
 Którymi puszcę poobdziałał całą!
 Zdarł szaty — poczem, od głów aż do pięt
 Ukazał nagie i obrosłe ciało,
 I tak okropnym buchnął z nagłą szaleń,
 Jak o podobnym nigdy nie słyszałem!

124.

Więc opętany tu i tam się miota,
 Grzmiące rozdając ciosy coraz gęściej.
 Żadna rozsądna zdrowych rąk robota
 Tak się podobno człeku nie poszczęścił!
 Siekiera, obuch i rozmachy młota,
 Są niczem, wobec siły jego pięści.
 Dał tego dowód, w sposób jak najzawawszy
 Z korzeniem sosnę, jakby żdźbło wyrwawszy.

135.

Wpędce się istność nie ostała żywa,
 Wśród niesłychanej ciosów tych zamieci.
 Pękają dęby w drzazgi i w łuczywa,
 Buków i jodeł trzask w powietrze leci!
 Jak ptasznik pole gdy przygotowywa,
 By na niem zdrańde mógł zakładać sieci —
 Tylko, że tamten chwast lub trawkę zetnie,
 Ten zaś olbrzymy ścina drzew stuletnie.

136.

Zbiegł pasterz, trzód swych zaniechawszy w lesie,
 Lecz drudzy, którym snadź się życie przykrzy,
 W bór lecą pędem, gdy się wieść rozniesie:
 Jak tam ktoś broi w sposób coraz dzikszy!
 Aż mnie samemu rym nareszcie rwie się,
 Gdyż, do podobnych strachów nie nawykiszy.
 Sądzę, że nawet sam sobie usłużę,
 Gdy was nie będzie chciał przerażać dłużej.

PIEŚŃ XXIV.

1.

Gdyś w lep miłości ulgnał, miej w pamięci,
 Że zdrów, kto wcześniej nogi za pas bierze —

Bo zakochani są koniecznie tknięci
Nieładem klepek. A tak, powiem szczerze,
Iż, choć nie każdy się, jak Orland, skreśli,
Głupieją przecież wszyscy w pewnej mierze.
Nieuleczalny jest szaleniec bowiem.
Kto, dla drugiego, własnem wzgardzi zdrowiem.

2.

I nie nie wskóra, choćby dar proroczy.
Byś mógł mieć pilną sam o sobie pieczę!
Boś niby w leśnej bywać rad zamroczy,
W której koniecznie musisz błądzić, człeczko —
Ten tu, ten owdzie, ów gdzieindziej zboczy —
Więc chociaż baczcie, co wam rozum rzecze:
— Póki Miłości służy człek, dopóty
Zasłużył w pęta być i w dyby skutyl! —

3.

Lecz ktoś mi rzeknie: — Zamiast nasze cięgi
Nam wypominać, ty na swoje pomnij. —
Odpowiem na to: — Mam ja rozum tęgi.
Gdy mię chwilowo trzeźwość oprzytomni,
I tuszę sobie, że się z tej mitregi
Zdołam wywikłać kiedyś najniezłomniej. —
Niestety! Próżno ufać tej mądrości —
Gdyż zło, do licha, już mi wiało w kości!

4.

Otóż, poprzednio już wam powiedziałem,
Jak się to Orland w puszczy swej rozgości.
Jak wszystko wniwecz grzmotał zdjęty szaleńcem,
I jak na odgłos jego tej czynności —
Choć nie wokoło nie zostało całem.
Ni z drzew, ni nawet z głazów — ludzie prości
Biedz jeli w sposób coraz natarczywszy
Na zgubę własną — ciężko snadź zgrzeszywszy!

5.

Ale też, widząc wrędcę, co się święci,
Poczęli trwożnie pierzchać w szlaki zadnie.

Niestety, w głazów gruz i w łom są wzięci!
Zdrętwieli! zacierplił dreszcz ich wskrós owładnie!
Wtem na nich Orland wpadł jak najzawzięciej —
Pierwszego z brzegu schwytał, i tak snadnie
Łeb mu urwany w krwi porzucił strugi.
Jakby makówkę z maku zdjął kto drugi.

6.

Poczem, kadłubem tym, gdy go za nogę
Ujął, zwycięzko jak maczugą włada.
Nia, iluż zważył, czyliż wiedzieć mogę?
Ci żyć i mogli zdrowi być nielada!
Tymczasem insi, mędrszą mając trwogę,
Co tehu pierzechnęli, jakby ptaków stada.
Lecz wtem na dalszą pięści swej swawolę
On opętaniec runął z boru w pole.

7.

Tu — Boże Wielki! któż mu umknąć zdoła?
Gna poprzód sobą nędzne one gapie!
Ten w dom — ten w stajnię wpadł — ten do kościoła —
A on, gdy kogo dosięgł, w twardej łapie
Mnie, gniece, miażdży — słowem, wszystko zgoła
Rozbija, tłucze, depeze, kąsa, drapie —
Ten zaś, którego on już nie dogoni,
Musiałby chyba przed nim gnać w sto koni!

8.

Wtem, wśród popłochu tego i rozpaczey,
Ten zgiełk, tę wrzawę w siołach, czy słyszycie?
To tak pastuchów, chłopów i oraczy
Woła dźwięk rogów, oraz dzwonów bicie!
Więc z gór i dolin rusza lud prostaczy,
W widły i w cepy zbrojny należycie,
Rusza i strasznie grozi i wykrzyka,
By zwartą kupą iść na okrutnika.

9.

Jak gdy na morzu nieraz, przed oczyma,
Dmuchięty wiatrem, z jednej skromnej fali
W coraz się grubsze wały odmet wzdyma,
Wreszcie w bałwany i w ląd coraz dalej

Prac się, urasta wkońcu w wód olbrzymia,
Który w brzeg stromy coraz grzmotniej wali —
Tak na Orlanda idąc poskromienie,
Tłuszcza ta zda się wzbierać nieskończenie.

10.

On dziesiątkować począł jak najsmielej
Czerń tę, niesforem nań idącą mrowiem,
Tak, że się oni z tego dowiedzieli,
Że jest bezpieczniej mieć się precz, albowiem
Próżno go było zwalczyć chcieć, jeżeli
Nie mu nikt zrobić nie mógł. A ja powiem:
Tę nietykalność dał mu Bóg, ażeby
Mieć go na Świętej Wiary Swej potrzeby.

11.

Tak jest. Kto inny, choćby jak najbardziej
Życ pragnął, byłby ztąd nie wyszedł cały!
Lecz Orland nawet wszelką bronią gardzi —
W pięści jedynie swej szukając chwały!
Więc gdy przywódcy coraz skromniej hardzi,
Z nimi zaś gwarne rzesze precz się miały,
Narwany Rycerz widząc, że dokoła
Puste już tylko pole jest, szedł w siola.

12.

Z tych, porzuciwszy dom i prac narzędzie,
Drapnęli wszyscy tam, gdzie pieprz nie rośnie.
Więc choć dostatek strawy zastał wszędzie,
Jaka się żywi chłop w przednówka wiośnie.
Zaczem, nie bacząc, chleb to, czy żołędzie,
Jął, wileczym głodem udręczony sprośnie,
Gryźć, co napotkał, ani siląc głowy,
Czy jadł warzony pokarm, czy surowy?

13.

Odtąd, po całym kraju, jął o lepsze
Z zwierzęty broić. Żadne go rubieże
Nie straszą, żaden ostęp nie odeprze.
W pędzie najchybsze zdołał chwytac zwierzę.

Niedźwiedzie, wilki, oraz dzikie wieprze,
Bywało, nieraz gołą ręką bierze,
Równu mu: mięso, skóra ich, czy kości —
Byle napełnił brzuch swój do sytości!

14.

Tak dokazując wszecz po Francyi całej,
W bezprawiach swoich Orland się zaciekał!
Aż raz go wstrzymał most i wzniosłe wały,
Wśród których bystra wrzała pod nim rzeka.
Tuż, groźna wieża stała, i błyszczały
Pod słońce szczyty wieży tej zdaleka.
Tu go zostawię — gdyż mi się wydawa
Pilniejszą od niej Zerbinowa sprawa.

PIEŚŃ XXIX.

OBJAŚNIENIE.

Rodomont, zabiwszy po pijanemu Izabellę, grobowiec jej
wzniesć zamierzył, obok którego wieżę dla siebie zbudo-
wał tuż nad rzeką. Przez tę zaś most prowadził bez za-
dnych poręczy i tak ciasny, że po nim zaledwie dwóch
jeźdźców obok siebie przejechać mogło.

40.

...A w tem nadleciał Hrabia rozszalały
Właśnie nad rzekę oną, gdzie, jak wiemy,
Na cześć swej panny, Rodomont, ze skały
Grobowiec, oraz wieży wznosił teremy.
Ten, gdy bierwiona mostu zatętniała,
Bez szłyka na ible, co tchu, gniewem niemy,
Choć zresztą zbrojny, skoczył od tej strony,
Kędy się zjawił Orland rozjezdzony.

41.

Ów, na ten szczupły most, jak na orkanie
 Wbiegł, bo w nim grała przygód chuć nadziejeza.
 Ale Rodomont, wściekły niesłychanie,
 Że go ten ciasny zrab nie zabezpiecza,
 Ryknął nań, mieląc w zębach swych zgrzytanie,
 Gdyż nawet ani myślał użyć miecza:
 — Precz ztąd, przybłęd, nędzną pychą wzdęty,
 Bo cię przywitam, aż ci pójdzie w pięty!

42.

Twych stóp, ty chłystku! most ten ani zazna,
 Bo on dla panów tylko i Rycerzy! —
 Lecz Orland, jakby mowa go przyjazna
 Wabiła k'sobie, niemniej rwał ku wieży.
 — Ha! Trzebaż, widzę, skarcić tego błazna! —
 Ryknął pohaniec, i wraz pchnąć go bieży
 Wprost na łeb w rzekę — bo mu ani w głowie,
 Że ten gracz dzielny godnie mu odpowie!

43.

O tymże czasie pewna panna gładka
 Nad rzekę wbiegła, bo się tej kobiecie
 Ku przejściu łatwą zdała mostu kładka.
 Piękność to była ta, o której wiecie:
 Że Brandymarta uczuć swych gwałtka
 Śledziła, błaznąc po szerokim świecie —
 Cóż gdy do niego nie jej nie przybliży —
 Skoro go szuka wszędzie, prócz Paryża.

44.

Tu więc, gdy Lilia wbiegła stopą skora,
 (Tym bowiem kwiatem białe dziewczę zwano),
 Patrzy — aż dwaj ci wręcz się za łby biorą.
 Który którego straci w toń wezbrana.
 Toż, choć wiedziała, iż się z duszą chorą
 Orland w świat wybrał — niemniej ta w nim zmiana
 Smuci ją, wiedząc, jak go chuć zuchwała
 Z szat obnażonym gdzieś przed siebie gnała.

45.

Więcze patrzała dziewczka trwogą blada
 W ten zapalczywy zapas dwóch siłaczy.
 Obu tych mężów równa wściekłość zjada.
 — Ty w dół! jam pan tu, smyku ty junaczy!
 Nużbys mię zepchnął? — byłby wstyd i biada! —
 Myślał pohaniec. Więc się w swej rozpacz
 To tak, to owak, ile sił miał, zмага,
 Krzepi go wzgarda mierzi zaś zniewaga.

46.

To ramionami czyni wysilenia,
 By niemi wzmocnić swej ciężkości brzemię —
 To prawą nogę, to znów lewą zmienia —
 To się obiema wrył w skopaną ziemię.
 Tak niedźwiedź głupi wyrwać chce z korzenia
 Drzewo, z którego w nocy spadł, gdy drzemie —
 To zaś, w zupełnej niewinności swojej,
 Gdy on się miota, tak jak stało, stoi.

47.

Orland, gdy w braku zmysłów mu została
 Siła jedynie, jakiej nikt już nie śni,
 Siła bezmierna tak, że w niej, bez mała
 Olbrzymi chyba byli mu rówieśni,
 Znagliła z pohańcem, dzierząc go w pół ciała,
 Zwalił się w rzekę z, onej mostu cieśni,
 I tam zczepieni oba poszli do dna —
 Brzeg jęknął, słupem bryzła fala chłodna.

48.

Tu, kiedy wartkie nurty ich rozplotą,
 Mój Orland, nagim będąc, jął co żwawiej
 Działać jak żaba rąk i nóg robotą —
 I wreszcie, stopę gdy na lądzie stawia,
 Znów gdzie chciał bieży, ani dbając o to,
 Czy go pohaniec klnie, czy błogosławi.
 Ten zaś, iż zbroja wręcz mu płynąć broni,
 Ledwie się dobyć mógł z tej przykrej toni.

49.

W tej ich porażce, Lilia urodziwa,
Przez most przebiegłszy, śle swój wzrok tułaczy
Tam, gdzie, jak sądzi, luby jej się skrywa.
Lecz gdy ni zbroi jego, ani baczy
Nigdzie szat szczytków — te grobowe dziwa
Rzuca, w świat znowu idąc. Lecz my raczej
Orlanda śledźmy, który po za rzeką
W łady już odbiegł Bóg wie jak daleko.

50.

Byłby szaleńcem sam, kto jego szalał
Chciałby po jednym wziąć i zamknąć w rymy!
Tyle ich było — iżby się nie dały
Policzyć! Z nich więc tylko wyróżnimy
Te, które wiecznej tak są godne chwały,
Jakby w nich złota kruszec tkwił rodziwy.
Lecz wprzód, chcąc nie chcąc, wybryk ten opieję.
Który on spełnił; wszedłszy w Pireneje.

51.

Już był nie jeden przebył kraj, przez który
Gnała go jego chuć nieposkromiona,
Aż dosiadał wreszcie niebotycznej góry,
Zkąd jest Frankowi widna Tarragona.
Tam, patrząc zawsze w stronę, gdzie przez chmury
Słońce mu w blaskach Zachodowych kona,
Wszedł w ciasny przesmyk, zkąd był szlak jedynie
Wprost ku głębokiej w dole zapadlinie.

52.

Tam gdy zbiegł — alie, szli dwaj pacholankowie
Z osłem, ładownym przez leśnego drwala,
W gałęzi brzemię ciężkie co się zowie.
Ci, widząc w strachu, iż się na nich zwala
Ktoś, snadź mający nieporządek w głowie,
Ostro na niego zawołali zdala:
Aby im nie chciał być zawalidroga,
I miał się na bok — bowiem przejść nie mogą.

53.

Orland, na oną mowę nie zbyt miłą,
Wyciągnął tylko nogę, i w dół brzucha
Ugodził osła z tak wytrawną siłą,
O jakiej tylko wieść już baje głucha.
Tego wnet z ziemi tak coś wysadziło,
Iż zdał się piórkiem, w które wietrzyk dmucha,
Poczem gdzieś w górze padł na szczyt opoki,
A jego brzemię poszło aż w obłoki.

54.

Wtem gdy się Orland ku pastuchom bierze,
Z tych, rozważniejszy, wzięwszy za pas nogi,
Ze skały, wyższej nad najwyższą wieżę,
Na łeb na szyję, nie pytając drogi,
Skoczył w zieleń w dole gdzieś rubieże —
I tam, choć nie mniej strach z nim zleciał srogi,
Choć twarz zdarł sobie cierniem i pokrzywą,
Zachował jednak w ciele duszę żywą.

55.

Nie tak zaś drugi. Ten, wśród onej burzy
Skałę chwyciwszy, wbiedz się na nią sili,
Sądząc, że na jej szczycie mu usłuży
Jama, gdzie górscy łowcy się chronili —
Lecz go tu Orland (nie chcąc, by żył dłużej)
Chwycił za nogi właśnie w skoku chwili,
I rąk swych kleszcze — aż się wspomnieć boję —
W błysk rozszerzywszy, rozdarł go na dwoje.

56.

Podobnie czapłę szpony rwą sokole,
Żywcem się nad nią pastwić najzawzięciej,
Zanim ją na śmierć srogi ptak zakole,
Chcąc, by się krwią jej upił bez pamięci.
Ach! ach! Szczęśliwszy ten, co został w dole —
Chociaż na razie mniemał, że kark skręci!
Tak to w Orlandzie wre chuć pomst nie syta!
Turpin ją spisał — i w nim się to czyta.

57.

To, gdy po górach dokazując srodze,
 Bezprawie zbroił, oraz innych wiele,
 Znagła w dół przepadł, bieząc po tej drodze,
 Gdzie się Hiszpański łód pokotem ściele.
 Aż w Tarragonie wreszcie go znachodzę,
 Której brzeg płuczą wartkich mórz topiele.
 Tu, choć niepokój w miejscu być mu wzbrania,
 Myślał czas jakiś zażyć spoczywania.

58.

Gdzieby, od słońca uciekając z głową,
 W piasku się zarył, jak istota dzika.
 Cóż gdy tam właśnie, raz go, wypadkowo,
 Z swym gachem jadąc, naszła Angielika.
 Bo ci, jak wiemy, też w Hiszpanię ową
 Z gór zbiegli, sądząc, że tam ślad ich znika.
 Ach! któżby przejrzał, że tak niespodzianie,
 Jedno drugiemu twarz w twarz kiedy stanie!

59.

Jak pięknym mężem Orland był, któż nie wie,
 Zanim się w sobie pozbył równowagi!
 Odkąd się zawziął w swym beznamiętnym gniewie,
 W dzień, w noc, w chłód, w słońce, zawsze chodził nagi.
 Gdyby był w pustyni wrzące wpadł żarzewie,
 Lub kędy mżyły Mojżeszowe plagi,
 Lub gdzie Libijczyk swoje czcili Ammony —
 Nie mógłby skóry więcej mieć spalonej.

60.

Twarz jego chudą zda się kość rozrani,
 Oczy mu wpadły w dołów dwie podkowki,
 Brodę w pas, głowę gołą miał, a na niej
 Stargany wichrem włos się jeżył płowy.
 Nie mogła w niego patrzeć piękna pani,
 Więc się zwróciła, i od stóp do głowy
 Drżąc, jak drży w polu kwiat przed cięciem kosy,
 Jęła o pomoc wołać w niebogłosy.

61.

Orland, spostrzegłszy ją, wyciągnął dłoń,
 Aby tę postać schwycić w objęcie pęta,
 I cały ku niej żarem żądz rozplonie,
 Tak go zatrzęsa wdzięków jej ponęta!
 Bo że jej obraz nosił kiedyś w łonie
 Z czią Bóstwa godną — ani już pamięta!
 Więc się jedynie obces porwał do niej,
 Właśnie, jak pokurez, gdy zwierzyne goni.

62.

Ujrawszy Medor, co on w bystrym szale
 Chce spłatać, z koniem spadł jak zawierucha
 W pomoc kochance, i zapamiętałe
 Ciął go w zwrócony tyłem kark od ucha.
 Sądził, że głowę zmiotł mu z ramion — ale
 Niż kark Orlanda, stał jest wątłej krucha!
 Bowiem, jak wiemy, Orland on zuchwały
 Drwił z ran wszelakich — czary tak zdziały.

63.

Niemniej gdy poczuł tęgi cios na grzbiecie,
 Wstrząsł się, i pięść swą uczyniwszy młotem,
 Z przemocą, której nic nie zrówna w świecie,
 Saraceńskiego konia z siodeł złotem
 Tak w łeb przywitał, że ten — coś powiecie —
 Ani zipnąwszy, trupem padł — a potem
 Zabrał się również zmiażdżyć przeciwnika —
 Na szczęście tamten w czas mu się wymyka.

64.

Tu tedy, klacz swą biczem i ostrogą
 Co tehu sprząywszy, panna wskróś struchlała,
 Chce, aby we dwie, ile tylko mogą
 Ztąd pierzechły, lecąc jak z cięciwy strzała.
 Razem, pierścienia pominąć własność błogą,
 Bez czasu straty wnet go w ustach miała,
 A ten, gdy pośpiech jego czar podnieca,
 Zdziałał, iż zgasta, jak zdmuchnięta świeca.

65.

Lecz wtem—czy siedząc nie dość zręcznie, czyli
W targnięciu cugłem ruch ją zdradził wraży—
Czy też ściągnięta klacz się w bok przechyli—
Trudno to wiedzieć—bo się rzecz ta zdarzy
Nawet najlepszym jeźdźcom—dość, że w chwili,
Gdy chciała jeszcze rąbkiem bronić twarzy,
Ni ztąd, ni zowąd utraciłszy strzemień,
Jak długa padła z klaczy swej na ziemię.

66.

Nie tak jest szybką błyskawica skrawa,
Jak szaf, co na to wskrós w Orlandzie wzbierze!
Już, już ją chwytął, i jej życia sprawa
Mogła przegrana być—bo wyznam szczerze:
Nie wiem, co biednej pannie pozostawa,
Skoro swe wierne z rąk puściła zwierzę,
A już nie może zbawczej znaleźć obrony
W tym, który poległ pięścią powalony.

67.

Nie wątpie jednak, że się jej udało
Ujść—a my idźmy drogą nieszczęśnika,
W którym, jak wiemy, duch rozpiera ciało
On, gdy mu w oczach pierzchła Angielika,
Jął więc za klaczą pędzić rozbijając,
A ta tak długo z rąk mu się wymyka,
Aż ją w gonieniu onem wyuzdanem
Schwycił za grzywę — i już jest jej panem.

68.

Wtedy z pieszczotą chodząc około niej,
Długo ją głaskał, jakby grzeczne dziecko.
Umocnił siodło, cugle zgarnął w dłoni
I jednym skokiem będąc na jej grzbiecie,
Jął biedz — a chociaż wiatry w polu goni,
Pędząc, by tylko skrócić kark — to przecie
Ni ją na jedną chwilę nie roztroczy,
Ni da choć trawy szczytną gdzie w uboocy.

69.

Wtem, raz, po haszczach skacząc wichrowato,
Z wierzechowcem swoim w skalnej utknął jamie.
Nie poniósł krzywdy żadnej sam — lecz zato
W klaczy się biednej grzbiec przez pół nadłamię.
Tedy, zmartwiony siły jej utratą,
Nie wiele myśląc, porwał ją na ramię,
I z tym ciężarem, choć się wielki zdawał.
Rad nie rad uszedł spory drogi kawał.

70.

Poczem na nogi stawił ją, bo świecie
Wierzył, że znowu moc się w niej ozowie —
A ta szła, jęcząc, zwolna, jak na ścięcie.
Mówił jej: — Chodź-że — bo myśl w jego głowie
Niemożność biegu miała w dziwnym wstręcie.
Lecz kiedy zwątpił: czy jej wraca zdrowie,
Na rękę sobie uzdę jej okrcęi,
I tak ją wreszcie wlecze wbrew jej chęci.

71.

Wlecze ją, wabi, nawet i batoży,
W miarę jak pędu wre w nim chuć zajadła.
Ta biegnie, raniąc członki swe w bezdroży,
Poprzez kamienie, skały i mokradła.
Lecz oto duch w niej krzepnie coraz gorzej —
Aż wreszcie ból ją dobił — więc też padła.
A on się na tem nie spostrzegłszy wcale,
Wlokąc jej trupa, dalej biegł w swym szale.

72.

Biegł tak, jak kamień, co się dostał w proce,
A zaś po drodze jakież breił dziwa!
W chatach, po wioskach, z ludźmi się szamoce
Ilekroć głodu chuć go zre dotkliwa,
Czégobądź dopadł: mięso, chleb, owoce,
Z rąk, niemal z gardła, komu chce, wyrywa.
Bije, kaleczy i znów kędyś w knieje
Lecąc, ni chwili miejsca nie zagrzeje.

73.

By Angeliki łaźnia równie krwawa
Nie zmiotła, pierścień zbawił ją jedynie.
Bowiem w Orlandzie wszelka trzeźwa jawa
Spała już jakby w grobie. O, niech zginie
On pierścień razem z tym, co jej go dawał
Choć szkoda! Bowiem Orland, w tej dziewczynie
Mógł pomścić, mając pięść swą ku obsłudze,
Nietylko swoje krzywdy, lecz i cudze.

74.

I stałaby się słuszność, gdyby były
W tej jednej drugich ukarane krocie!
Gdyż w złości płeć ta czerpie wszystkie siły —
W swych sercach mając statku bezrobocie!
Lecz — cóż to? — w lutni mojej dźwięk niemiły,
Zda się brzmieć kwaśno, jak miauczenie kocie?
Więc tu mej pieśni niech się kres oznaczy.
Bo nie chcę przykrym być dla mych słuchaczy.

PIEŚŃ XXX.

1.

Człek nieraz, w krzywdy swej pocuciu, nie wie,
Gdzie podział rozum i pomiarkowanie,
I gotów dłoń swą, lub choć język, w gniewie
Jak biec rozpuścić, łajac niesłychanie,
A gdy w nim żądzę wytlę się żarzewie,
Swego się błędu zaprzec nie jest wstanie —
Ach! Ja też cofnąć radbym sercem całem
To, co w poprzedniej pieśni wybajałem.

2.

Bom niby chory — i choć się nie pieszcze,
Gdy mi oprawcze w ranie tkwi narzędzie,

Jednak, gorączki gdy mnie zdejmą dreszcze,
Sam nie wiem, jak się ze mnie złość dobędzie,
I choć już dawno ustał ból — to jeszcze
Mój język dalej śmiga w swym rozpędzie —
Więc żal mój na nic, bo mnie trapi bieda:
Że com raz wyrzekł, już się odrzec nie da.

3.

Ale w twą łaskę, sładzie ty niewieści
Ufam, w pierś bijąc ciosy niepowszednie!
Ty mię rozgrzeszyć raczysz: iż w boleści,
Nie mogąc cicho cierpieć, gadam brednie.
Wie Bóg, że grzech mój w tej się raczej mieści,
Co mię udręcza równie w noc, jak we dnie,
I czyni gorszym niżlim jest, i zmusza
Błąźnić — a z nią jest moja myśl i dusza.

4.

Na równie ze mną, tak a nie inaczej,
Narwany Orland godzien jest litości!
Ten w żadnym kraju spocząć już nie raczy,
Nawet w Marsyla Państwie nie rad gości.
Lecz przez dni wiele ciągnąc trupa klaczy,
Sam nie wie dokąd pędzi jak najprościej.
Wreszcie, na brzegu toni gdzieś głębokiej,
Rad nie rad rzucił te bydlęce zwłoki.

5.

Tu wpław się puścił, gdzie najrwiwsza rzeka,
A gdy mu fale drugi brzeg poddały,
Tam spotkał kogoś, co przy koniu czeka.
Gdy ten się poi wszedłszy w wód kryształę.
Owóż, on obcy, widząc go zdaleka
Nagim, jak bizun, kiedy stał zdumiały:
— Czy chcesz — rzekł Orland — wzamian za człapaką
Wziąć klacz, co wcale nie jest lada jaka?

6.

Na drugim brzegu, między kruków rzeszą,
Znajdziesz tam cenną skórę jej i kości.
Być może jakie leki ci ją wskrzeszą,
Bowiem nie braknie nic do jej całości.
Ja ci dopłacę — a ty ruszaj pieszo,
Proszę cię bardzo. — Tamten się rozłości,
I z koniem swoim wprost do brodu zmierza,
Opętanego nie chcąc znać rycerza.

7.

— He! Słyszysz błaznie! — krzyknął Orland na to —
Masz tu niezwłocznie oddać mi twe zwierzę! —
A tamten tylko łaską swą sękatą
Grożąc mu zdala, nogi za pas bierze.
Tu Orland skoczył, i, zbyt hojną spłatą,
Bo się już rozjadł w niesłychanej mierze,
Tak w łeb go zgóry zwałił pięścią gołą,
Że ten padł martwy, cios dostawszy w czoło.

8.

Poczem na konia siadł, i znów do licha
Gna w świat, po drodze udęcując ludzi.
A konia wiatrem żywi — ten zaś dycha
Póki nie zdechnie, jak i drudzy chudzi.
A gra w Orlandzie tak bezmierna pycha,
Że on dla pieszej drogi nóg nie trudzi,
Lecz kiedy konia z jeźdźcem gdzie napyta,
Jeździeca ubiwszy, z szkapą mknie z kopyta.

9.

Wreszcie w Malagę zwrócił pędy hyże.
Tam, tu i owdzie miażdży, płata, kole,
I tak na wszystkim pisze krwawe krzyże,
Że z ludnych osad zrobił puste pole,
Które nie prędko z ran się swych wyliże.
Słowem, tak wielką wszędzie siłą niedolę,
I tyle zbroił sprawek swych zamiecią,
Że zniszczył kraju więcej niż część trzecią.

10.

Aż więc przyleciał, niby sproсна mara,
W państwo Zizery, które też się pono
Zwie Zibelterry lub i Zibeltara —
Bo tak i owak o niem jest mówiono.
Tam łódź od brzegu odbijała szara,
A w niej dobrane i wesołe grono,
Chcące w powiewach rzeźwych, w rannej porze,
Przejażdżki użyć przez błękitne morze.

11.

Tu krzyknął: — Hej tam! stójcie-no waszecie! —
Bo mu wsiąść do nich myśl do głowy włata.
Lecz próżno zgrzytał, wznosząc pięść — bo przecię
Któżby rad przyjął podobnego swata?
Owszem, on statek mknie tak, że powiecie:
Jaskółka niby śmiga gdzieś skrzydłata!
Więc konia swego, Orland szattem tknięty,
Koniecznien zmusza w bystre wejść odmęty.

12.

Ten — cóż miał robić? — skurczył się, i w morze
Chlusnął, choć bardzo toń go straszy sina!
Znikły mu nogi, grzbiet, aż w krótkiej porze
I łeb, i ledwie zipie już chudzina!
Chciałby się cofnąć — ale cóż? — nie może,
Bo go po uszach giętki pręt zacina.
Biedny! ty musisz: lub na brzeg Afryki,
Lub na dno w ostre żwiru pójść kamyki.

13.

Już ani brzegu nigdzie, ani łodzi
Tam, kędy Orland z koniem swym przepływał!
I próżno wzrokiem tu i owdzie wodzi —
Głęb' tylko wszędzie bystra i ruchliwa!
Więc go tem težej ćwiczy on dobrodziej,
Chcąc, by koniecznien brnął przez płynne szklawa!
Aż ów nareszcie, wzdęty wodą słoń,
Szedł na dno spocząć — jak mu snadź sądzono.

14.

Nie sam dał nura, lecz z Rycerzem, który
Wnet już nie siedział na onego grzbiecie,
Lecz się co prędzej wzięwszy na pazury,
Plując i charcząc, war pięściami gniecie.
Toń była cicha, niebo też bez chmury,
Więc szczęście wielkie — bo, jak to pojmiecie,
Gdyby się stało choćby kęs inaczej,
Rybom na pastwę Orland szedł junaczy.

15.

Ten traf, co zwykle wspiera szaleństw cele,
Zrządził, że Rycerz na brzeg wyszedł cały,
Tuż kędy Setty kraj się wpoprzek ściele,
Warowny murem na dwa z łuku strzały.
Tu, jakby gnany, biegnąc przez dni wiele,
W stronę gdzie rankiem wschodnie brzaski dniały,
Nareszcie znalazł wręcz ku swej ochocie
Zastępy Maurów liczne, jak gwiazd krocie.

16.

Tu w świat znów puścimy tego nieszczęśnika —
Znajdzie się jeszcze miejsce dlań i pora.
Co zaś zdziałata dalej Angielika,
Gdy się z Orlanda szalem w czas upora,
I, jak radośnie w stronę swą pomyka
W bezpiecznej nawie, by do rąk Medora
Zdać sutem wianem Indyi kraj rodzimy,
Może kto inny ujmie w gładze rymy.

PIEŚŃ XXXIV.

Astolf na hypogryfie leci do Raju w sprawie Or-
landa.

42.

...Więc w siodło siadłszy, nagle ją skrzydłacza,
Aby tej góry szczyt mu dał w zdobyczy,
Który tam zda się tkwić, gdzie się zatacza
Biegu księżycą okrąg tajemniczy.
A tak ta żądza gdy go gna junacza,
Już, Ziemią gardząc, Nieba tylko życzy,
I coraz wyżej wzłata — coraz wyżej —
Aż mu pod stopy szczyt się wreszcie zbliży.

49.

Od najświatlejszych pereł i kamieni,
Oprawnych zacnie w jak najszczerze złoto,
Kwiat się tam każdy cudniej w barwach mieni,
Wdzięcząc się oraz woni swych pieśczotą.
Wobec zaś żywej bujnych traw zieleni
Niczem jest szmaragd — a tu jeszcze oto
Krzew każdy, owszem, każda gałąź drzewa,
I kwiat i owoc jednocześnie miewa.

50.

Wszędzie, śpiewając, ptaków rój przelata.
Strojnych w tęczowe, pełne blasków pierze.
W słońcu motyli igra cma skrzydłata,
Przy kryształowych źródołw słodkim szmerze.
Powiewy błogie z czterech krańców świata
Tętną dziwną rzeźwość wiecznie w jednej mierze,
Bo jest w nich dobroć, nie dopuszczająca
Ani zbytniego chłodu, ni gorąca.

51.

Z kwiatów, z łąk, z gajów nieustannie plynie
Woń niezrównanej w technieniu swem słodyczy.
A tak ożywczej mocy, iż jedynie
Wśród niej żyć wiecznie dusza sobie życzy...
Wtem Astolfowi, zagnała, na równinie
Błysnął ku Niebu Dworzec czarowniczy,
Z którego taki blask się wypromienia,
Że to jest prawie nie do uwierzenia.

52.

Więc też, on jeździec, widząc z każdej strony
Gmach, w którym nie ma końca, ani miary,
Ogarniający skrzydeł swych ramiony
Najendowniejszych pól i łąk obszary,
Poznał, przepychem tym oszołomiony:
Ile jest lichym byt nasz w dole szary,
I ziemia nasza ile jest wstrętna,
Gdy ją z tutejszym światem porównywa!

53.

I patrzy Rycerz nasz — a kiedy patrzy,
To, zda się, zmysł w nim od zachwyty ginie,
Gdyż niezem ziemski marmur nasz najrzadszy,
Niezem tu: grody, zamki i świątynie!
Ktoś chyba w Niebie cudów treść odgadłszy,
Podobne dziwa stawiać mógł jedynie!
Ach! wiedzo ziemska! cała twa potęga
Nawet podnóżka wyżyn tych nie sięga!

54.

Wtem przez krużganki biejąc, w Imię Boże
Starzec go śpieszy witać jak najszybciej.
W szkarłatnym płaszczu, w białych szat bisiorze,
Król, rzekłbyś, w chwale świetnej swej odzieży.
Siwiutki, w twarzy miał jasności zorzę,
Po pas na piersi broda mu się śnieży.
A taki urok z niego się wydziela,
Iż się Wybranym zdał z Wybranych wiela.

55.

Zsiadł Astolf z konia przez poszanowanie,
A mąż on, gdy go owa cześć oznaka
Za serce wzięta, rzekł: — Czy wiesz, młodzianie,
Że cię w Raj ziemski zaniósł lot rumaka?
Mnie zaś, i dróg twych w życiu kierowanie,
I jest wiadoma żądza twa wszelaka —
Znaj więc, iż w Niebie tak mieć sobie życzą,
Żeś w tę krainę zstąpił tajemniczą.

56.

Gdy tam z Karzelem walczy dziec zuchwała,
I Wiarę Świętą wiatr bluźnierczy miota,
Byś znać mógł: co się przeciw temu zdziała?
Po toś jest zesłan przed te błogie wrota.
Lecz ni twój rozum, aniby zdołała
Sprawić to — wierz mi — twa rycerska enota,
Ni róg twój¹⁾, ani koń ten śnieżnopióry —
Gdybyś to wszystko nie miał danem zgóry.

57.

Kto? jak? i kiedy? pomoc dać tu zdoła,
W dosadnych słowach rychło ci wymienię.
Ale wprzód wytehnij, boś strudzony zgola,
Gdy ci bezmierne przyszło zbiedz przestnienie. —
Tak prawiąc, Mąż on, co miał twarz Anioła,
Tem większe wzbudził w gościu swym zdumienie,
Gdy dalsza jego wykazała mowa,
Iż był tym, który spisał Pańskie słowa.

58.

Jan to był, miły Panu, przez którego,
W świat poszły uczniów Pańskich łmy tułaczce.
Zaś go przy życiu Aniołowie strzegą —
Bowiem w Rozstaniu, kojąc łez rozpaczę,
Rzekł Pan do Piotra: „Tobie bo do tego!
Tak chcę, by ten tu trwał, aż wróciś racze!“ —
Nie rzekł: „Nie umrze“, tylko „niech zostanie“ —
I tak się stało, jak Ty chciałeś, Panie!

59.

Z nim tam Dziad Enoch, co od niepamięci
Żyw, bo mu żywot niepożyty dano;

¹⁾ Róg czarodziejski, dany mu przez Logistyllę.
XV. 15).

Z nim Eliasz Prorok, który wiecznie święci
Wziętego żywcem w żywe Nieba miano.
Ci, lichym zmianom ziemskich pór odjęci,
Póty tu dolą ciesząc się wiosnianą,
Aż archanielskich rozgłos trąb zadźwięczy,
I spłynie Chrystus na swym tronie z tęczy.

60.

Jeżdżca, gdy dzień się skłaniał ku pomroce.
Wwiedziono w Dworca nie zrównane progi.
A też i jego lotny koń szeroce
Był ugoszczony po strudzeniu z drogi.
Rajskie za pokarm służą tam owoce.
A jest z nich każdy tak w swym smaku błogi.
Iż nikt Rodzicom Pierwszym nie pochwali,
Że więc zakazu z Niebios nie słuchali.

61.

Zaczem, we wszelki zdobnej dziw komorze
Nasz geść, jak łatwo temu uwierzycie,
Nim, rozmarzony leżał na miękkie łożo,
Wprzód się posiłkiem wzmocnił należycie.
Aż gdy rumiane swym wywczasem zorze,
Wyszło z sypialni mrocznej na błękicie,
Znów go nawiedzić przybył w chwili owej
On ukochany Uczeń Chrystusowy.

62.

Ujął mu dłoń, i niemalej siły
Pociechę z ust swych jał mu sączyć w łono.
Rzekł wreszcie: — Synu! tobie obce były
Troski gnębiące Francję zasmuconą.
Znaj więc, iż Orland sercu twemu miły
Odbiegł chorągwi, którą mu zwierzano —
Zkąd się tem silniej dola nad nim sroży,
Im ciężej zgrzeszył on Wybraniec Boży.

63.

Już mu w kolebce daną była przecię
Przy lwiej odwadze władzy chuć szalona,

A też nadludzki dar, iż nikt na świecie
Nawet kalectwa na nim nie dokona,
I miał Obrońcą Wiary być, jak wiecie,
Tak, jak to niegdyś wybrał Bóg Samsona,
W którego członki dan był duch zwycięzki,
By w Filistynach szerzył śmierć i klęski.

64.

Cóż gdy przecherà stał się Pańskiej Chwały!
I, coby jeno żyć miał z myślą o Niej,
Jej sprawę, oraz lud swój osmutniały
Zdradził, odbiegłszy w klęsk najcięższych toni!
Bowie się zażęgił nieczystemi szalą
Ku pohanicy złej, za którą goni
W świat na złamanie karku, z jej naprawy
Z swym bratem nawet bój stoczywszy krwawy!

65.

Więc Bóg mu w umysł rzucił strute męty.
Iż, bez pamięci, poprzez puszczy rozłogi
Biega, wyglądem zrównan ze zwierzęty.
Zdziczały — wszyscy przed nim pełni trwogi
Pierzchają — słowem, tą jest kłatwą tknięty,
Co niegdyś władca Babilonu srogi.
Który lat siedem, sprawą niestychaną.
Jak wół nikczemny, trawę jadł i siano.

66.

Lecz iż mniej zgrzeszył niż on Mocarz podły.
Jest też win jego łagodniejsza spłata.
Przeto, by wreszcie wrzenia krwi w nim schłodził,
Trzech zmian księżycy właśnie kres dolata.
A ciebie, w kraj ten, pod Świętymi Godły,
Po to jedynie zesłał Zbawca Świata,
Byś znał przezemnie: gdzie? i w jakiej porze?
Um Orlnadowi być zwrócony może.

¹⁾ Jak o tem w Pieśni I, 8.

67.

Lecz na to, trzeba, byśmy lot nasz wzniesli
 Aż tam, gdzie gwiazd się rój w przestrzeniach mrowi,
 I kędy księżyc krąg swej drogi kreśli
 Wpółśród najbliższych wkoło nas pustkowi.
 Więc, słuchaj synu dobrej rady:—Jeśli
 Chcesz pożytecznym stać się Orlandowi,
 To, skoro świat się w noc pogrąży ciemną,
 Bądź w gotowości iść w tę drogę ze mną.—

73.

Więc Astolfowi, w owych wrażeń zmianie,
 Dziwne uczucia rozpieły łono.
 Cóż, gdy Apostoł wwiódł go niespodzianie
 W dolinę, między dwojgiem gór wgłębioną,
 Kędy cudowne miało zachowanie
 Wszystko, co kiedy zdarto, czy zgubiono—
 Bądź czas to działał, bądź złej doli władza.
 Słowem, skarb wszelki, który człek zgromadza,

74.

Choć znów nie taki, z którym traf zuchwały
 Igra, i wnet go w marną nicłość zsyła—
 Lecz taki, który, bądź go komu dały
 Natechnienia dobre, bądź złej żądz siła.
 Dużo tam było jednodniowej chwały,
 Która już zdawna własny byt przeżyła—
 Modlitwy także, i te śluby łązawe,
 W które człek wkłada czynów swych poprawę.

75.

Miłosne skargi i niewczesne zale,
 Czczość po wypiciu pełnej uciech czary,
 Czyny działane lichu lub ospale,
 Przyobiecanki płoche, i zamiary
 Powzięte szybko w pustych zachcęg szale—
 Słowem, tych licznych złudzeń zapas szary,
 W których, im więcej było czasu straty,
 Tem w nie zasobniej skarb ów był bogaty.

76.

Tak za przywódcą swym gdy Astolf bieży,
 By obiecaną zażyć mógł otuchy,
 Patrzy, i widzi wzdętych stos pęcherzy,
 I z tych się pomruk wydobywa głuchy.
 Z czynów to niegdyś brzmiających jak najszerzej
 Tak się tam chlubią wichrowate duchy—
 Które, choć zrazu wstrzęsły świat swą chwałą,
 To dziś już nawet imię ich przebrzmiało!

82.

W tych miejscach Rycerz pilnie rozpatrywa
 Zwierzonej sobie zguby odzyskanie.
 Lecz sam przez siebie w te rozliczne dziwa
 Nigdyby trafnie spojrzeć nie był w stanie!
 Aż Apostoła wreszcie chęć troskliwa
 Tam go przywiodła, gdzieś Ty, Niebios Panie!
 Pomieścić raczył, w miejscu okazałem,
 Rozumy ludzkich głów zwicnięte szale,

83.

W bańkach z kryształu, z których nie ulata
 Płyn w nich zamknięty, a na ich przezroczu
 Napis, opiewał: w jakiej stronie świata
 Jest ten, któremu zmysł się w mózgu mroczy.
 Z tych jedna, więcej od swych siostr pękata,
 Ku sobie brała Astolfowe oczy,
 Gdyż na niej napis takiej świetniał treści:
 „Um Orlandowy w tej się bańce mieści“.

84.

Nikt wśród tych baniek wiedzy swej nie zmyli
 Tak się z nich każda głosem pisma chwali!
 Astolf pokornie skroń ku ziemi chyli—
 Najwięksi bowiem jakże są tu mali!
 Jednym się dziwił: iż w tych miejscach byli—
 Drugim zaś: iż się w nich nie znajdowali.
 Aż wreszcie smutek serce mu ugniecie,
 Iż jest narwanych taka moc na świecie!

85.

Ów, bogaetw cheiwy, w błędu wpadł potrzaski.
 Tamten, iż nazbyt wdzięki czcił niewieście.
 Ten znów, od pańskiej na pstrym koniu łaski.
 Ten, iż się władzy w swem dobijał mieście.
 Ten w dostojenistwa, ów się bawił w blaski.
 Słowem, zbieszonych istny tłum—i wreszeie
 Wypatrywacze gwiazd, wytwórcy złota,
 Poetów także z różnych stron hołota.

86.

Wziął Astolf bankę, wiedząc doskonale:
 Jak miał z niej zdrowie wsaczyć w zmysły chore—
 Gdyż mu Jan z Pathmos Mistrzem był w tej chwale...
 Turpin, z którego księgi rzecz tę biorę,
 Tak opowiada o tem wszystkim—ale
 Zarazem twierdzi: że nie tyle w porę
 Z Orlanda głowy uprzątnięto męty—
 Ile to Sprawie służyć mogło Świętej.

PIEŚŃ XXXIX.

35.

...To gdy się z Francją działo, z ust Karzeła
 Cesarza rozkaz biorą męże oni,
 By, nim w bojowe on ich wezwie dzieła,
 Pozornie trwali w zawieszeniu broni.
 Lecz z nagłą groźba jakichś klęsk gruchnęła,
 O której popłoch coraz szerzej dzwoni—
 Trąby zaś żadnej brzmienie tak nie zbudzi,
 Jak wieść ta wszystkich w ruch wprawiła ludzi.

36.

Więcze Rycerze nasi, w jednej chwili,
 Gdy rady na to żaden z nich nie zwleka.
 Co tehu, chwyciwszy broń, na koń skoczyli.
 Lecz, nim dopadli zgiełku, już zdaleka
 Patrzą—a oto—czy ich wzrok nie myli?—
 Widzą zwierzowi podobnego czelaka,
 A ten, sam jeden, w tłumie tym, i nagi,
 Gdziebądź się zwróci, straszne szerzy plagi.

37.

Pałka tam gwiżdząc tu i owdzie lata,
 A jest tak twarda i w tak twardej dłoni,
 Że byle tylko wiedźma ta sękata
 Dotknęła czyją istność—to wnet po niej!
 Już przez nią setki poszły precz ze świata.
 I broić dłużej któż gołcowi wzbroni?
 Chybaby zdala z cieciw celne strzały—
 Gdyż wbrew mu dotrwać, nie jest nikt dość śmiały.

38.

Oliwer, Dudon, Astolf, oraz hoży,
 Brandymart, nie się temu dzikulcowi
 Nie dziwią, widząc, iż on wszystkich trwoży:
 Gdyż ich moc jego pięści zastanowi.
 Lecz wtem, na końcu, równa jasnej zorzy,
 Podbiegła nagle Panna w szacie wdowiej,
 I ta, nie bawiąc, Brandymarta szyję
 Uroczym wiankiem rączek swych obwije.

39.

Lilia to była, która z głębi łona
 Do Brandymarta szczerym ogniem pała.
 Ta, gdy na moście ciasnym odbieżona
 Tamże o mało zmysłów nie stradała,
 Wśród morza potem niemal z bólu kona,
 Gdyż ją dosięgła wieści struta strzała:
 Iż więc jej luby, wśród Algierskiej dzieczy
 Dźwiga na karku łańcuch niewolniczy!

43.

Stał Niebu dzięki Rycerz on, że przecię,
Zdarzeniem błogiem, już z nim ta zostanie,
Którą ukochał ponad wszystko w świecie.
Więc gdy tej pięknej rad jest niesłychanie,
Ani mu pierwsze, drugie, ani trzecie,
Lecz chyba setne starczy całowanie—
A wtem, Bardina spostrzegł, który długo
Tej pannie jego bratem był i sługą.

44.

Więc go pozdrowić chciał i spytać: kędy
I jak tę pannę spotkał, której służy?
Ale zmuszony był, jak stał, w te pędy
Z pomocą śpieszysz nieszczęśnikom, którzy
Pod gromem pałki tego tam przybłądy
Kładą się, niby łan w podmuchach burzy—
Wtem Lilia, widząc ono widmo człeczce,
—Patrz Brandymarcie—to jest Orland!—rzecze.

47.

Zdjął wszystkich smutek, iż w tak lichym szale
Marnieje mąż ten. Wtem się zaś ozowie
Astolf:—Nie pora tracić czas na żale.
Pomyślmy raczej, jak mu wrócić zdrowie.—
To rzekłszy z konia zsiadł, a z nim zuchwale
Toż uczynili znacznych cnót panowie,
I krokiem pieszym pędząc, w jednej chwili
Karzełowego wnuka obkoczyli.

48.

Spostrzegłszy Orland, iż się dostał w matnię,
Rozjadł się znagła tak jak wściekłe zwierzę,
I wraz, Dudona, który, względy bratnie
W czci mając, sam się tarczą tylko strzeże,
Maczugą swoją tak od ucha płatnie,
Że, gdyby nie twój oręż, Oliwierze,
Mogła mu zmiażdżyć pałka ta w swej złości
Tarczę, hełm, głowę, pierś i wszystkie kości.

49.

Pękł jednak puklerz, Dudon zaś, bez miary
W łeb wzięwszy, niemal trupem padł omdlały
Wtem w pałkę oną Sansonetto jary
Tak siekł, że ona prysła precz w kawały.
A tuż, żyłaste Brandymarta bary
Szaleńca, niby w kleszcze, w pół schwytały—
Zaś, podczas gdy się z sobą szamotali,
Astolf próbował, czy go z nóg nie zwali.

50.

Lecz go ten kopnął, aż on, od igrzyska
Więcej niż kroków dziesięć w tył uskoczy.
A znów, choć wielce twardo go uciska
Brandymartowych ramion moc, z uboczy
Oliwierowi, który podszedł zblizka,
Dał tak potężnie pięścią między oczy,
Że ten znienacka, na wznak padł jak długi,
Z gęby i z nosa krwi puszczejac strugi.

51.

Jedynie dzielna zbroja mu ocali
Życie, będące blaskiem cnych Rycerzy.
Bo tak okrutnie runął z brzękiem stali,
Jak ten, co tylko śmierć mu się należy.
A wtem z Dudonem Astolf się zerwali,
Czuając w swych członkach życia przypływ świeży,
Też Sansonetto do ich sił przydawa
Moc, dzięki której padła pałka krwawa.

25.

Więc Dudon, w pomoc mknąc Mandrykatowi,
Chce zmóć szaleńca podstawioną nogą —
Lecz nawet razem wszyscy mężowie
Opętancowi rady dać nie mogą!
Kto widział byka, gdy się zewsząd mrowi
Wróg w krąg i za nim, jak on, rycząc srogo,
Gdziebądź się ruszy na nim i dokoła
Psy wiszą, których pozbyć się nie zdoła—

53.

Niech wie, że Orland w równie silnej mierze
Wszystkich na sobie włożył, ilu ich było!
Wtem się myśl zbawcza zrodzi w Oliwierze.
Gdy wreszcie z Ziemi dźwignął się pochyło:
Że skoro tędzy ze wszech miar szermierze
Nie mogą dać mu rady wspólna siła,
Uda się może tak go podejść zdradnie,
Że zagną Orland z nóg, jak kłoda, padnie.

54.

Oto, dobrawszy lin zkąd tylko da się.
Zadzierzgnąć silnych zdziałał z nich nie mało,
I tak za nogi, ręce, oraz w pasie,
Gdy jął go chwycić, wraz mu spętał ciało —
A tu za konce lin tych, kiedy zasiał
Drudzy chwyćili, to się zagną stało:
Iż Orland runął, wzięty w zdradę oną,
Jak kiedy w rzeźni wołu powalono.

55.

Tak leżącego jeszcze skrepowano
Silniej, a tylko nie nie szkodząc głowie. —
Jak on się rzucił, jak pluł krwawą pianą,
Jak w niebogłosy ryczał, któż wypowie!
Rzekł wreszcie Astolf mową sfrasowaną:
— Trudno. Czas nadszedł, by mu wrócić zdrowy
Zaczem go Dudon siłacz, w imię Boże
Na barki swoje wziął i niósł nad morze,

56.

Tu go siedm razy w prądach wód obmyto,
Nurzając równie razy siedm — i oto
Gdy precz już, na dno morskie, jak przez sito,
Z twarzy i z członków zszedł mu kał i błoto.
Z ziół czarodziejskich papkę w garściach zbity
W otwarte usta tak mu silnie wgniotą,
Że, choć się wstrząsał Bóg wie jak szalenie,
Mógł tylko nosem wciągać odetchnienie.

57.

Wówczas mu Astolf bańkę tę przychylił,
W której był jego um schwytany w pęta.
Więc nosem, w którym dech mu zostawił,
Musiał, gdy inna możność mu jest wzięta,
Treść wszystką ztamtąd wciągnąć — i w tej chwili
Tak się niezłomny mąż ten opamięta,
Że stał się zagną wolnym od swej biedy —
Nawet pewniejszym siebie, niż był kiedy.

58.

Jak gdy kto, z przykrew zmory, gdzie dokoła
Oglądał chmary poczwarać tak złowieszcze,
Że nawet sama myśl już o nich zdoła
Męczarni równe dawać człeku dreszcze,
Zbudzi się z okiem w ślup, gdyż nie wie zgoła:
Czy to już jawa, czy też sen trwa jeszcze —
Tak Orland, gdy go precz odpadły szaly,
Czas jakiś zdał się całkiem ośłupiały.

59.

Swym towarzyszom dawnym patrzy w lica,
I w tego, co go dźwignął Boską Mocą.
Litości wyraz w twarzach ich podchwycą,
Jakbądź przedmioty w oczach mu migocą.
To, czegoś wstyd go zdejma, to tęsknica.
Sili się pojąć: kedy jest? i po co?
Dziwno mu, czemu obran jest z odzieży?
I zkąd on taki skrepowany leży?

60.

Wtem rzekł, jak niegdyś Sylen Boskie Zwierzę,
Wieżione w jamie rytmem Wirgiliusza:¹⁾
— Puście mnie! — patrząc wzrokiem, w którym szczerze
Oprzytomniona w świat patrzyła dusza.

¹⁾ Solvite me pueri. Ecloga VI.

Więc go zwolnili z pęt, i w szaty świeże
Odziwać jeli — a tak wszystkich wzrusza
Niedola jego, że więc wśród tej rzeszy
Każdy się jego wytrzeźwieniem cieszy.

61.

A kiedy stał się sobą znów, i skoro
Wszedł w tem jaśniejsze rzeczy wszech objęcie,
I w zdrowiu myśl miał wrzód od żądz chorą —
To wraz tę, którą kochał tak przekłęcie,
Że aż w szaleństwo wpadł, gdy mu ją biorą,
Już więc w pogardzie ma i w dziwnym wstręcie.
A tak i woli siłę odzyskiwa,
Którą mu miłość wzięła niewstydliva.

PIEŚŃ XLI.

68.

...Tedy się Orland z Brandymantem zrywa
I z Oliwierem — trójka znamienita —
Saraceńskiego wyzwać w bój Gradywa,
(Taka się nazwa o Gradassie czyta).
A tuż i dwójka niemniej zapalczywa:
Król Sobrin, oraz Agramant z kopyta
Biegli Gradassa wesprze — i w tej porze
Od ich tententu wstrząsł się ląd i morze.

69.

A gdy runęli w siebie ci zuchwali,
I poszły w drzazgi włócznie, dżgając w zbroje,
To zgrzyt słyszano aż w odległej dali,
A tak straszliwy, że się wspomnieć boję —
Bo tu z Gradassem Orland się spotkali!
I, trzeba wyznać, ważył się na dwoje
Tej grzotni skutek Cóż, gdy na Bajarda
Z Gradassa dłoni padła dola twarda!

70.

Ten rumak cenny ponad szczere złoto,
W pierś ugodzony z siłą dziwnie srogą,
Wstrząsł się i zachwiał, potem padł, i oto
Już mu i nogi w pomoc przyjsć nie mogą!
Orland, do żywa tknięty tą sromotą,
Głosem go rzeźwi, targa, dżga ostrogą.
Lecz, gdy go próżno tylko okalecza,
Chwyciwszy tarczę, porwał się do miecza.

71.

Oliwier z Maurów królem grać poczyną —
Lecz są ci gracze równi, jak dwaj wodze!
Wtem wyparł z siodła Brandymart Sobrina.
Cóż, gdy dowodu na to nie znachodzę,
Upadku jego poszła zkąd przyczyna?
Czy tu koń skrewił nie dość pewny w nodze,
Czy z winy jeźdźca padła dola taka —
Dość, że się Sobrin znalazł bez rumaka.

72.

Brandymart, widząc jego upadnięcie,
Rycerskie w królu uszanował godła.
Lecz na Gradassa przypadł w konia skręcie,
Bo ten Orlanda właśnie wyparł z siodła.
Zaś z Agramantem Oliwier zawzięcie
Walczy, jak chęć go od początku widła.
Potem, o siebie drzewca gdy strzaskali,
Chwyciwszy miecze, raźnie walczą dalej.

73.

Tymczasem Orland, skoro Gradass szczerze
Z upadku jego zysków brać nie śpieszy,
Brandymartowi rzuca precz w ofierze
Dzielnego władcę saraceńskiej rzeszy.
Sam się zaś zwraca w bok, a gdy spostrzeże
Sobrina, który, tak jak on, był pieszy,
Tedy ku niemu skoczył pędem strzały,
A w oczach jego gromów błyski drżały.

74.

Takiego mając przeciw sobie wroga,
Pilnie się Sobrin zebrał w sobie cały.
Jak żeglarz, gdy mu padła dola sroga
Napotkać w drodze groźnych wiehrów szalał.
Ster im nastawia, bo go zdejma trwoga,
By go odmęty w bok nie ugadzały —
Podobnież Sobrin, ufny w stal puklerza,
Jemu obronę swej całości zwierza.

75.

Lecz Balizarda tak jest w hart bogata,
Że się nikt, by jej dotrwał, nie pochwali!
Zwykłego nawet zdolna wślawić chwata,
W Orlanda dłoni temci doskonalej
Najteższą zbroję gnie i w kęsy płata!
Więc i tu Sobrin próżno ufa w stali —
Puklerz mu ona w dwa czerepy łamie,
Co uczyniwszy, ciężko padła w ramię.

76.

Tak, w ramię! Chociaż w tej okropnej chwili
Pancerz na sobie miał i sieć drucianą.
Tedy, nie bacząc w gniewie wściekłym, czyli
Zdoła być groźny z tą w ramieniu raną,
Zerwał się — rąbie — lecz się próżno sili —
Bo mu rycerza zmódrz nie było dano,
Skoro, do Świętszej sprawy powołany:
Mógł sobie Orland szydzić z wszelkiej rany.

77.

Ten zaś powtórzył cięcie, pragnąc zgolić
Głowę mu z karku zdmuchnąć, godząc w szyję.
Tu zmiarkowawszy Sobrin, iż nie zdoła
Siłacza tego męztwo zgnać nieczyje,
Złożył się mieczem, uchylając czoła.
I gdy już mniemać mógł, że cios odbije,
Wtem Balizarda, niby grom ze stali,
W czaszkę go grzmoce i na ziemię wali.

78.

Padł Sobrin, brocząc krwią i wskroś zdrętwiały.
Chce wstać, lecz éma go gnębi nieprzeparta!
Zas Orland, sądząc, iż mu nieba dały
Pohańca tego pehnać w ramiona czarta,
Ku Gradassowi bieży pędem strzały,
Który się groźnym stał dla Brandymarta,
Gdyż go nietylko bronią, nawet zbroją,
Lecz też przewyższa i sprawnością swoją.

79.

Brandymartowi służył Rogierowy
Rumak, w bystrości ruchów równo strzale,
I ci dwaj jurni męże do połowy
Mogli być sobie równi w bitwy szale.
Cóż, gdy Saracen wziął był na te łowy
O wiele teższą zbroję — mniej zaś dbale
Rycerz się wybrał. Tak więc, lżej broniony,
To tu, to owdzie miał swe słabe strony.

80.

Frontyn się pod nim równo z panem zbiera,
Bo są w tym koniu zmysły niemal człeczce!
Też Durindana rąbie, jak siekiera,
Bo to miecz również ponad inne miecze!
Agramant indziej w pierś znów Oliwiera
Godzi i całkiem w równi się z nim siecze,
Tak, że z pewnością w srogim tym zapale
Jeden drugiemu nie ustąpi wcale.

81.

Orland Sobrina rzucił precz i zmierza,
Jako więc rzekłem, tam, gdzie z ręki brata
Brandymartowi zda się pomoc świeża.
Lecz, iż był pieszy, tęgim krokiem zmiata.
I już srogięgo sięgnąć miał szermierza,
Gdy patrzy — pędzi, niby śmierć skrzydlata,
Ten koń, z którego Sobrin był zwalony —
Więc go pochwyca, jakby w orle szpony.

82.

Koń stanął—ten zaś w siodło mu u lęka
Wskoczył, a stopy w strzemion wparł ogniwa.
Ujęła cugle lewa jego ręka,
A w prawej błyska, świszcząc, broń straszliwa.
To widząc, Gradass nie się go nie lęka,
Owszem ku sobie nęci i wyzywa.
Sądząc, iż jego, jak i innych wiele,
Pod nogi sobie, niby wał, uściele.

83.

Rabie w Orlanda—ale odskoczyła
Od karaceny dźwięczna stal brzeszczota.
Orlanda członków nie tknie żadna siła—
Jest też przedziwna zbroi tej robotą!
Zaś w odpowiedzi Orland wraz wysła
Swą Balizardę—a ta, kiedy grzmota,
Za nie tarcz, pancierz, hełm i hart bułata—
Ona to wszystko błyskiem tnie i zmiata!

84.

W twarz, w pierś i w łędźwie padła rana krwawa
Dzikiemu władcy najezdniczej burzy.
Szczęściem się umknął w bok i tam zostawa
I już napadu więcej nie powtórzy.
Bo snadź tu nie jest z Durindana sprawa
I gdyby cios był bliższy lub trwał dłużej,
To więc przerabiał mógł go raz takowy
Od łba przez kadłub cały w dwie połowy.

85.

Więc już nie grozi, ani się przechwala,
Owszem, swój zapał i swój wygląd zmienia,
I tylko, niby grzmiąca w zwrocie fala,
Wysiłku pełne daje odepchnienia.
Brandymart zaś, skoro ujrzał zdala,
Że tam już mało miałby do czynienia,
W tę stronę pomknął, gdzie się drudzy grzmocą.
By, kędy trzeba, śpieszyć mógł z pomocą.

86.

Zaś Sobrin podczas, gdy ten bój się toczy,
Z ziemi drżącemi dźwiga się ramiony,
Znów się przytomnym czując, i z uboczy,
Jak bądź śmiertelnie niemal skaleczony,
Po całym polu baczne puszcza oczy,
A widząc pana swego bez obrony,
Więc, iż mu pomoc zdalaby się chyża,
Chytkiem się w stronę Oliwiera zbliża.

87.

To pomknę lisim tropem, to przystanie.
Aż gdy tam podszedł, gdzie się walka wiodła,
Nóż mając w zębach, właśnie, jak poganie
Czynić są zwykli, owa istność podła,
Ściągnę koniowi w samym rżnie kolanie.
Ten padł, a rycerz, wstać nie mogąc z siodła,
Gdyż nogę lewą miał wplątą w strzemie,
Wraz z swym rumakiem zwałił się na ziemię.

88.

Był pewnym Sobrin, iż więc chytra zdrada
Agramantowi iść na korzyść będzie.
Ale od czegoż miecz on od pradziada?
Wszakci to Wulkan zdziałał to narzędzie!
Brandymart, widząc, iż Oliwier pada,
Wbiegł na Sobrina w bystrym konia pędzie
I z całej siły w łeb dał jego zdradzie —
Cóż, gdy na miejscu trupem go nie kładzie!

89.

Owszem, on zbrodniarz, co się w czarnej jamie
Wylał i prędzej później wróci do niej,
Na Oliwiera padł i z nim się łamie.
I swym ciężarem gniołąc, wstać mu broni.
Ten zaś, iż prawe miał swobodne ramie,
Skoro już zdołał goły miecz mieć w dłoni,
Wysiłkiem tęgim, gdy się w tył przegina,
Wraz długość jego całą wbił w Sobrina.

90.

Poczem pomocy szuka rycerz blady.
 Lecz, gdziebądź młdmi zwróci się oczyma,
 Wszędzie krew, druzgi i skopane ślady,
 Jak w szrankach! Mniema, iż go pięść olbrzyma
 Wbiła w zboczony piasek ten bez rady!
 Ma głowy zawrót—już się ledwie trzyma—
 Preży się, szarpie, targa, ruchy zmienia,
 Lecz się nie może dobyć z pod brzemia!

91.

Brandymart wonezas pragnie już jedynie
 Agramantowi ciężkie sprawić łowy.
 A ten mu zmyka, choć na swym Frontynie
 On mknie, jak czółnko wśród pasm osnowy!
 Z nóg wielce żartkich rumak jego słyńie,
 Lecz nie gorszego ma i król Wschodowy,
 Bo to Bryliador, a on po Rogierze
 Od Mandrykarda wziął to dzielne zwierzę.

92.

Ma też na sobie wysmienitą zbroję,
 Od której lepszą wątpię czy znajdziecie!
 Tymczasem tamten, gdy się wyrwał w boje,
 Wziął pierwszą lepszą z brzegu. Lecz znów przecię
 Mógł sobie tuszyć, iż za trudy swoje
 Weźmie tę, którą król ma na swym grzbiecie.
 Gdy ów, skrećiwszy w bok, jak zawierucha,
 Spadł i rycerza rąbnął w kark od ucha.

93.

Temu już cięcia Gradassowe dały
 Cios w bok, od których broczy rana krwawa.
 Więc, ku wrogowi skacząc oszalały,
 Gdy mu dojadła ciężka z nim rozprawa,
 Zwalił go w puklerz, ten zaś gdy w kawały
 Pękł, on mu w ramię tęgi cios zadawa..
 Lecz to są fraszki—bo my patrzymy dalej,
 Jak się z Gradassem Orland rozprawiali.

94.

Z Orlanda Gradass niemal już do czysta
 Zbił zbroję. Ani już przybica, ani
 Broni go dłużej pancerz, ni wzorzysta
 Paiza. Walczą, jak dwaj opętani!
 Jednakże Gradass mało tu korzysta,
 Bowiem Orlanda nikt i nie nie zrani,
 On zaś wrogowi swemu w całym ciele
 Ran pozagłębiał znacznych bardzo wiele.

95.

Ten, krew najdroższą tracąc, gdy w rozpacz
 Widzi, iż wszystko, czego bądź się chwytą,
 Na nie—tu bowiem już nie broń, lecz raczej
 Orlanda krzepi jakaś moc ukryta—
 W zapamiętaniu, w którym ani baczy,
 Jak ślepa wściekłość skręca mu jelita,
 Oburącz chwycił miecz i z twarzą zbladłą
 Z góry w Orlanda zwałił, jak w kowadło.

96.

Na szczęście, miecz on w tym zbyt krwkim czynie
 Padł nie od strony ostrza, lecz od sztaby.
 Nie łatwo jednak śmierci się wywinie
 Od grzmotni takiej, kto jest w karku słaby!
 Tymczasem Orland w razie tym jedynie
 W swych oczach ujrzał wszystkich gwiazd powaby,
 Też miecz mu, brzęcząc, z ręki się wymyka—
 Szczęściem, na pięści miał go u rzemyka.

97.

Drgnął pod Orlandem koń i na kiel bierze.
 Wzdął chrapy, krwawy rzucił wzrok dokoła
 I pomknął, jakby u nóg czterech pierze,
 A zaś u grzywy skrzydła miał sokoła!
 Jeden za drugim pędzą dwaj harcerze—
 Król Gradass wichrem, Orland tak, jak zdoła.
 A chciał i nawet mógł go dognać przecię.
 Gdyby to Bajard niósł go na swym grzbiecie.

98.

Tak kiedy gnają potępieńcy owi,
 Król widzi, iż tam, wśród walczących kręga
 Brandymart na kark wsiadł Agramantowi.
 Temu rżemienna pękła w hełmie przęga.
 A wróg—tej chwili grozę któż wysłowi?—
 Przypadł ku niemu i po sztylet sięga—
 Ów zaś już chyba cudem się obroni.
 Bo nawet oto miecz mu wypadł z dłoni.

99.

Lecz biada takim, co są własną struci
 Nieoględnością! Rycerz już się wspina
 W puśliskach strzemion i, jak błysk, się rzuci
 Utopić sztylet w gardle poganina.
 Gdy wtem, znienacka, pełen krewkiej chuci
 Gradass nań runął, niby z gór lawina,
 I z tym rozmachem, z jakim rąbią kłoce,
 Oburącz mieczem w wierzech go hełmu grzmoce.

100.

Ojeze błękitnych w świetle gwiazd przestworzy!
 Jakżeśmy twardo z rąk Twych doświadczeni!
 Z odmetu, który najmeźniejszych trwoży,
 Kiedyż do cichej wpłynąć nam przystani?
 Oto i teraz—pytam się—cóż srożej
 Aż w samą duszy rdzeń Orlanda zrani,
 Jak cios ten, którym on, wśród swych współbraci,
 Najwierniejszego towarzysza traci?

101.

W rąbnięciu owem była moc szalona!
 Pękł hełm i w czaszkę ostrzem gwoździ wgina
 Swych drzazg żelazo. Rycerz z głębi łona
 Jęknął, twarz mu się wykrzywiła sina,
 I z rąk puszczał miecz, a z nóg strzemiona,
 Na wznak z dzielnego zwałił się Frontyna,
 I bielmem zaszele przymykając oczy,
 Swą krwią najdroższą miałki piasek broczy.

102.

Orland zaledwie oczom swym dowierza,
 Błady i ciężej smutny, niż wypowiem!
 Wtem drgnął, zacisnął zęby i rycerza
 Krzepnące zwłoki żegna sercem wdowiem.
 I, czy go gnębi gniew, czy strata świeża,—
 Od obu równa biada! Wrogom bowiem
 Z boleścią jego będzie tem boleśniej!...
 A tu już pora dać kres owej pieśni.

PIEŚŃ XLII.

7.

...Jak pasterz, gdy mu w pośród uroczyska
 Dziecko ukąsił w stopę waż niecnota,
 Zrywa się wściekły i, podbiegłszy zblizka,
 By w mig plugawca zbawić mógł żywota,
 Pałkę w potężnej dłoni swej zaciska —
 Również się Orland z mieczem w rękę miotła!
 A gdy tak bieży, rozhukany srodze,
 Agramant pierwszy staje mu na drodze.

8.

Szedł krwawy, mdłemi wisząc w dół ramiony.
 Zgięty, jak gdyby dźwigał garb z ołowi;
 Bez miecza, tarczy — słowem tak zsieczony,
 Jak z Brandymarta wyszedł rąk, ptakowi
 Podobien, w którym jastrząb wrył swe szpony.
 Gdy go mniej zręcznym z góry pędem łowi.
 Wtem wpadł nań Orland i wraz w sposób tęgi
 Gruchnął go zgóry w kark pomiędzy kręgi.

9.

Leb, zwisał na piersi, jak u trzciny młodej
 Wierzech, gdy wiatr, wyjąc, niepokoi stawy.

Zadrgały ściegna nóg, i nakształt kłody
Padł Libijskiego władcy kadłub krwawy,
A duch odleciał na Stygijskie brody,
Gdzie chmurny Charon czeka u przeprawy.
Nie bawił nad nim rycerz wichrowaty,
Lecz na Gradassa mknął bez czasu straty.

10.

Ten, niemal ścierpły od onego dziwa,
Że król przed gromcą w piasek wrył swe skronie,
Czując, jak ztamtąd grozi śmierć straszliwa,
Zbladł, zgrzytnął, skoczył i przekleństwa zionie.
Lecz w chwili, kiedy Orland nadlatywał,
On, zanim zdążył mieć się ku obronie,
Ani się spostrzedz zdołał, jak przekleście
Wskroś go przebodło błyskawiczne pchnięcie!

11.

Wszedł miecz swym końcem, co, jak nóż, był cienki.
Od szyi w gardło, gdzie się mieści grdyka,
Przez pierś i serce aż w trzewiowe wnęki,
I tam w całości po rękojeść znika.
Tak padł w objęcia śmierci prosto z ręki
Najcenniejszego z Chrześcian bojownika,
Ten mąż, któremu, póki żył, dawano
Najcenniejszego wśród Pohańców miano.

12.

Jedną i drugą pomstał piorunową
Syty nasz rycerz co tehu konia chwytą,
I, jak ten, co go w nagłą pomoc zową,
Do Brandymarta lecieć jął z kopyta.
A temu blacha sterczy ponad głową,
Rzekłbyś, topora cięciem tak rozbita,
Jak wśród porębu lada szczapa drzewa
Oporu w sobie pewnie mniej nie miewa!

13.

Kiedy przytłbieć Orland zdjął mu z twarzy,
Nawskroś mu serce widok przeszył krwawy.
W śmiertelnie rannym jeszcze zmysł się waży
Wśród mglistych złudzeń i zachwytów jawy.

Już woń go rzeźwi Rajskich Wirydarzy,
I on swe ziemskie gdy chce zegnać sprawy,
Dwie łzy pobiegły w błądź jego lica.
Potem poczęła mierzchnąć mgłą źrenica.

14.

Wyszeptał: — Módl się za mnie. — A też jeszcze:
— W opiece Lilię miej, tę ukochaną,
Której wspomnieniem myśl ostatnią pieszczę. —
Zaś dłużej mówić nie było mu dano.
Więc oczy przyknuł, czując słodkie dreszcze.
I tak, by skroń swą przybrać w Rajskie Wiano,
Snadź jego dusza, syta cierpień ciała,
Już przy Anielskich śpiewach wzlatywała

15.

Był Orland wielce wesół z tej zamiany
Nędzy w pociechę wiekuście świętą.
A też, iż, idąc między współniebiany,
Brandymart zdeptał żądz doczesnych pęto.
Niemniej, gdy sobie wspomniął zadumany,
Iż najmilszego druha precz mu wzięto,
To, znając, jaka bywa w łzach otucha,
Zapłakał rzewnie mąż silnego ducha.



157675

OD REDAKCYI.

Pani M. w Jędr. Przepraszamy najuprzejmiej, ale obecnie nie będziemy mogli korzystać z łaskawie ofiarowanej nam oferty.

Panu S. K. w Sosnowcu. Drugi tom „Historji Literatury Polskiej“ J. A. Święcieckiego wyjdzie w miesiącu czerwcu i obejmować będzie literaturę chińską i japońską.

P. Z. Tomy żądane wysłaliśmy za zaliczeniem pocztowem w dniu 10 kwietnia.

P. P. F. M. A. Konkurs „Biblioteki“ odłożony do dnia 1 października 1901. Warunki te same.

Panu Józefowi D. w Lublinie. Zgadzaemy się na warunki proponowane.

A. I. Dobrze.

P. Hip. Szok. w Włocławku. Życzenie pańskie wkrótce będzie spełnione. Przepraszamy za zwłokę.
